

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 28 sierpnia - 4 września 1949 r. Nr 35-36 (214-215)

Jan Aleksander Król

W 12 rocznicę

STRAJK CHŁOPIŃSKI

1. „WIDMO SZELI”

W roku 1937 — 15 sierpnia wybuchł, proklamowany przez Stronnictwo Ludowe, powszechny strajk chłopiński. Był to, w drugim dziesięcioleciu II Rzeczy, od przełomowych lat kryzysu bodaj już czwarty strajk chłopiński. Rozmiarami, zasięgiem i napięciem politycznym przewyższył wszystkie poprzednie. Proklamowany w „centralnej” Polsce (z wyłączeniem woj. wschodnich i północnych — jako „skomunizowanych”) rozplamił się na obszarze obejmującym 8 milionów ludności wiejskiej. Wprowadził w działania strajkowe, w starcia z policją w pacyfikacyjny terror około 2 miliony chłopów. 1000 gospodarstw zostało zniszczonych. Padło 41 chłopów. Rannych mogło być kilkuset. Komunikat rządowy podał 34. Ranni kryli się i zbierali, zagrożeni aresztowaniami, które objęły 6.000 osób. Wyroki sądowe skazały oskarżonych o udział w strajku łącznie na sumę 250 lat więzienia. W opinii rządu sanacyjnego strajk wyraził się w „aktach gwałtu i terroru”, w „zbrodniach”, w „komunistyczno-anarchistycznej”, akcji w „Widmie Szeli”. W przeświadczeniu mas chłopińskich biorących udział w strajku, osaczanych przez policję, stojących przed lufami karabinów, brojących krwią, atakowanych we własnych wsiach, i domostwach rodzinnych, demolowanych i obracanych w perzynę, zmuszanych całymi wsiami do ucieczki w lasy, do oporu walki i dozbierania się od widel i kos poczynając — dla tych mas strajk z dnia na dzień nabierał cech początku rewolucji. Z manifestacji, z buntu wstawał przedświt rewolucji.

2. „POLSKI NA REBELIE, ZAMACHY I ROZRUCHY NIE STAC”

Strajk proklamowało Stronnictwo Ludowe. Upiękniono część lat od zjednoczenia się „Piasta”, „Wyzwolenia” i „Stronnictwa Chłopińskiego”. Cofnijmy się do tego momentu. Był to piąty rok dyktatury sanacyjnej po zamachu majowym. Szykowały się nowe wybory. Raz jeszcze partie legalne od PPS do prawicy chłopińskiej i drobniomieszczańskiej próbowały zaczynając się dyktaturę faszystowską cofnąć legalnie do przedwojennych form ustrojowych demokracji burżuazyjnej. Kongres „Centrolewu” wysunął wspólną listę „Związku Obrony Prawa i Wolności Ludu”. Sanacja rzuciła najpierw gróźbę „łamania kości”. Rezolucję Kongresu ocenia jako rewolucyjną na tyle, że wymaga unicestwienia, opozycję zaś centro-lewą jako słabą i niebezpieczną na tyle, że można ją rozbić bezkarnie zamachem i terrorem.

Następują głośne aresztowania przywódców partii. Otwiera się epoka Brzeźcia i Berezy. „Burżuazja — pisał Wł. Kowalski*) — do ostatka wykorzystywała wszelkie złudzenia przywódców ruchu ludowego. A gdy przywódcy ci znaleźli się w krytycznej dla siebie sytuacji, z jednej strony nie mogąc poprzeć dyktatury burżuazji, gdyż to groziłoby im zupełną kompromitacją wobec mas, z drugiej strony nie mogąc się zdecydować na rewolucję, bo to godziło w interesy bogatych chłopów, burżuazja rozprawiła się z ruchem ludowym zdecydowanie. Zamknięciem w Brzeźciu czołowego przywódcy prawicy chłopińskiej Wincentego Witosa dano do zrozumienia, że żadnego pardonu nie będzie...”

„Toteż i zjednoczenie w 1931 r. (stronnictw chłopińskich) było już tylko lamentem przywódców na własnym polityczno-moralnym pogrzebie”.

Na procesie brzeskim, stojąc wobec zarzutu przygotowywania rewolucji, Witos odrzucił go stanowczo na wczoraj, dziś i jutro: „Chciałbym aby pan oskarżyciel wskazał mi na to, kiedy chłopci robili rewolucję. Znam chłopów, jako element nadzwyczaj spokojny. Polskę na rebelię na zamachy i na rozruchy nie stać. I będzie to trwało jeszcze długo”.

go”. Ale Polskę już było stać na zamach majowy, na uwięzienie opozycyjnych przywódców politycznych, na zepchnięcie w podziemia komunistów, a miały przyjść pacyfikacje, Bereza Kartuska, rozgromy żydowskie, sekwestry podatkowe i bankowe, bezrobocie robotnicze i chłopińskie, nędza rosnąca mas, kartelizacja, konstytucja faszystowska, policyjny terror, dławienie strajków, wolności stowarzyszeń i prasy, sojusz z Hitlerem. Witos wypuszczony w ostatnich dniach 30 roku z więzienia do czasu rozprawy brał czynny udział w przygotowaniach i w samym Kongresie, jednoczącym stronnictwa chłopińskie (15 marca 1931). W „Zielonym Sztandarze” pisał o tym Kongresie raz jeszcze broniąc zjednoczenia przed cieniem podejrzenia o rewolucyjność: „kto nie wierzy, niech sobie przeczyta uchwały tych „krwiożerczych” niby to chłopów, czyhających rzekomo na czyją ziemię i dobro”.

Tak powstające zjednoczenie ruchu chłopińskiego wyrastało nie z walki ale z polityczno-moralnego bankructwa jakie przyniosło „związanie rąk” z burżuazyjnym obozem. Frazesy „trzeba czasu i wysiłku, czasu i wytrwałości” uragały aktualnej i najbliższej rzeczywistości. Rozruchy już się zaczynały i miały rosnąć. Były nieuniknionym wynikiem sytuacji mas robotniczych i chłopińskich.

3. WYRASTA SOJUSZ WALCZĄCEGO PROLETARIATU

Kiedy w latach kontury (26-27 r.) zadłużenie drobnych gospodarstw wynosiło na 103 proc. rocznego dochodu, już w roku 1929-30 dochód spadł o 1/3 a zadłużenie roczne osiągnęło (przeciętnie) 300 proc. dochodu. Uderzenie było straszliwe.

Dyktatura polityczna ukazała się masom chłopińskim na wsi w postaci gospodarczej dyktatury karteli i banków, folwarków i kulackiej lichwy, najmu i odrobku. Był to początek rosnącej fał. Od 1932 r. już wysrubowana cena pluga, nawozów i butów, znów podskoczyła do r. 1936 dwukrotnie. Badania w r. 1935 ukazują ponad 30 proc. gospodarstw karłowatych, około 7 milionów bezrobotnych na wsi. W 35 r. produkcja przemysłowa ustala się na 65 proc. stanu produkcji przed kryzysem. Bezrobocie obejmuje pół miliona robotników fabrycznych. W 1932 r. sanacja unifikuje koła rolnicze (CTO i KR), czyniąc z nich organizację partyjną swego obozu. W 1934 r. chce narzucić związkom zawodowym korporacyjną, faszystowską unifikację. W tym roku zostaje zawarty pakt wojenny z hitlerowskimi Niemcami.

Te pięć lat demaskuje burżuazję w jej zdradzie demokracji, w jej zdradzie wolności narodowej, w wikłaniu się w wewnętrzne starcia. Te pięć lat również wyodrębnia przedmiot jej handlu wewnętrznego i zagranicznego, przedmiot jej wyzysku i politycznej niewoli: masy ludowe-robotnicze i chłopińskie. Zróznicowanie klasowe tak silnie odcisnęło kapitalizm ery faszystowskiej na wsi, że na gościńcach, folwarkach i miasteczkach po r. 1930 znalazły się (z roku na rok rosnące) masy robotników rolnych, chłopów z gospodarstw karłowatych i małorolnych, w walce, która szła wprost przez rozruchy i starcia, w walce, która miała perspektywę walki bezpośredniej o władzę. W walce, której ten sam rytm bił tylko w dwu ogniskach strajków, wystąpień i manifestacji: w robotniczym i chłopińskim. W chłopińskim szedł po omacku. Wybuchy buntu i protestu rozpylane na terenie kończyły się rozszalałymi na nieprzewidywanym polu walki trupami chłopińskimi, procesami i pacyfikacjami.

Uczyły one nieprzejednanej wrogości. Uczyły zatem coraz wyraźniej rozeznawać nieprzyjaciół i przyjaciół. Klasy, grupy, organizacje, idące na kompromis, na układy z burżuazją, zaplecenie rządu, odsłaniały dołom chłopińskim wroga i osamotnienie. Życie i krew kładł robotnik. Jego w manifestacjach i strajkach spotykało się bezpośrednio. On



Święto ludowe, r. 1946 w Warszawie (poczet sztandarowy)

je wznaczał, ożywiał, rozjaśniał ich cel. On zapowiadał pomoc do dalszych, silniejszych walk. W tych próbach uczyły się masy chłopińskie „wymacywać” jedynego sojusznika do ostatecznej rozprawy z ustrojem, który ich zginał. W tych próbach dorastały do rzeczywistego sojuszu z klasą robotniczą, tzn. do ogólnoludowego przewrotu demokratycznego.

Już wiosną 1932 r. wybuchł strajk chłopiński w limanowskim i krośnińskim. W Lubli padli zabici chłopci. Pod Łapanowem (w dniu święta ludowego) zginęło 5 chłopów, kilkudziesięciu raniono. Związek Robotników Rolnych zapowiedział strajk na wrzesień. Jeszcze w czerwcu i w lipcu w pow. Lesko policja zabiła 5 chłopów, w Jadowie 4, w Daleśzycach przeprowadziła krwawą masakrę. We wrześniu odbyły się strajki w woj. Krakowskim, Kieleckim, Lubelskim, padło 18 chłopów. We wrześniu nowe strajki.

W październiku rozpoczęła się seria olbrzymich procesów: a w terenie pacyfikacja wielu powiatów. W roku 1934 rząd sanacyjny otworzył Berezę Kartuską.

Od roku 1933 manifestacje w dniu Święta ludowego przybierają nie spotykane rozmiały. Uczestniczy w nich corocznie około 2 mil. chłopów.

Nadchodzi rok 1935 — rok przełomu. W stosunku do strajków i manifestacji robotników z lat poprzednich fala tegoroczna jest najwyższa. KPP montuje „Front Ludowy” którego ostrze wymierzone zostaje nawewnątrz przeciw rządowi sanacyjno-faszystowskiemu. Rozruchy ostatnich lat na wsi i w mieście potężnieją coraz bardziej, „wszystko to mówi (z listu Sekretariatu Krajowego KC KPP) że stoimy w obliczu nowych potężnych walk

— w obliczu strajków powszechnych na najważniejszych odcinkach”.

W PPS się ożywia się frakcja lewicy jednolitej. W „Plomieniach” organie młodych (OMT-uru i ZMS) wybliska hasło: zrywające z tradycją „egalnej” ugodowej partii w burżuazyjny — faszystowski — państwo. „Bezpośrednim zadaniem ruchu robotniczego jest zatem wytworzenie takiej siły która przemocą w drodze przewrotu rewolucyjnego zdoła obalić i rozbić cały aparat państwowy (administrację, policję, wojsko) będący narzędziem panowania władzy...”

„Sile aparatu państwowego faszystowskiej dyktatury przeciwstawić się może jedynie dyktatura proletariatu, jako forma politycznej przemocy nad elementem kontrrewolucyjnym”.

4. DOŁY I GÓRY

Rok 1935 stanowi nowy etap zamachu faszystów w Polsce — są to — Konstytucja Kwietniowa i dyktowane wybory do sejmiku. Ale tym silniej zaostają się i ścierają przeciwności. Dla KPP najważniejszą rzeczą chwili staje się uruchomienie milionowych mas na wiecach, w demonstracjach ulicznych, strajkach protestacyjnych.

Hasło jednolitego frontu robotniczego objęło szeroki zasięg. Manifestacja 1-majowa wniosła na ulice miast hasła walki przeciw nowej konstytucji faszystowskiej nowej ordynacji wyborczej, unifikacji związków i hitlerowskim przygotowaniom do wojny z ZSRR, przeciw sanacyjnemu sojuszkowi z hitleryzmem w którego programie i drodze leżało nieuchronne podbicie i zniszczenie naszego narodu; jest to bowiem wojenny program kapitalizmu imperialnego.

„W I E Ś” OD NASTĘPNEGO NUMERU WYCHODZIĆ BĘDZIE (W POWIĘKSZONYM FORMACIE) W

ARSZAWIE

Rozwinięta została w granicach frontu ludowego akcja czynnego bojkotu wyborów do sejmiku. Kongres Stronnictwa Ludowego uchwalił również czynny bojkot.

W 3 tygodnie potem 17 posłów i senatorów zgłosiło akces do wyborów. Byli w tej liczbie prezesi: Kongresu, klubu poselskiego i senackiego, dwu wiceprezesów. NKW i Sekretarz Generalny. Zwołany został nowy Kongres, na którym do Rady Naczelnej jako jej trzon weszli obok „piastowców” młodzi „agrariusi”. Zaważył ten fakt później na ideologii i taktyce politycznej kierownictwa. Sam jednak Kongres stał się rzeczniczką interesów klasowych najniższych grupy chłopskich (robotników, gospodarzy karłowatych i małorolnych). Uchwalono, że „wszelka wielka własność ma być wywłaszczona bez odszkodowania”.

W nowym programie stronnictwa znalazło się również żądanie uspołecznienia fabryk, kopalni, banków i lasów. To był dorobek doświadczeń mas chłopskich, młotanych od 1930 roku wybuchami buntu: manifestacji, strajków i starć. Partie tej woli mas chłopskich, radykalizujących się w terenie, w obliczu głodu, straszów, pacyfikacji i procesów odbiło się na ideologii, kutej na gorąco przez młodsze pokolenie inteligencji chłopskiej. Młokowskiego monstrualna koncepcja Polski zakładała panagrarnizm. W perspektywie dalszej odbierała klasie robotniczej to, co teraz, bieżąco jej koncesjonowała: uspołecznienie fabryk i banków. A te elementy właśnie szeregowywały się poprawnie w umysłach rozdrażnionych, maltretowanych, walczących coraz zjadliwiej mas chłopskich: odebrać burżuazji i panom fabryki, banki i ziemię! Odebrać jedno i drugie. Jedni drugich wspierają, jedno drugie wywołuje. Na jednych i drugich na raz i razem! W strajkach i manifestacjach układał się program wspólnej walki o władzę: robotników i chłopów.

Na górze zaś stronnictwa młodzi snuli majaki, które nie wykraczały poza granicę burżuazyjnego oportunizmu. „Chłop chce, czy nie chce, uświadamia sobie to, czy nie uświadamia, jest w porównaniu z innymi warstwami społecznymi 'najwłaściwszym reprezentantem tego, co jest najbardziej narodowe, polskie w duchu, obyczajach, w mowie, w całościach swego moralnej kultury'. Politycznie znaczyło to tyle, co „należy się wystrzeżać elementów idei, przychodzących z lewa czy prawa — elementów idei, wyrosłych poza wsią, w odmiennym niż wieś środowisku i dla człowieka wiejskiego obcych”. (J. Grudziński: „Chcemy mieć ruch ludowy zwarty i silny”. M. M. L. Nr 8—9, 35 r.).

W prezydium N. K. W., które zostało wyłonione z Rady Naczelnej w marcu 1936 r. Zasiadali w zastępstwie znajdujących się z zagranicy Witosa, Kiernika i Bagińskiego) piastowcy: M. Rataj (prezes) i St. Mikołajczyk (vice-prezes) oraz agrarysta J. Grudziński (sekretarz).

Rataj, reprezentował tradycje demokracji parlamentarnej, która miałyby się opierać nie na walce, lecz na współpracy klas. Ten utopizm leżał u podstaw jego praktyki politycznej i kazał mu przetrwać na stanowisku marszałka sejmiku aż do Kwietniowej Konstytucji. Ten utopizm po zamachu majowym sformułował błędnie jego ocenę sytuacji na długą przyszłość: „W interesie państwa leży utworzenie silnego obozu środka, któryby nie dopuszczał do starć gwałtownych między skrajnymi skrzydłami”. W tym obozie środka miało być miejsce dla zjednoczonego Stronnictwa Ludowego.

Mikołajczyk na Kongresie grudniowym 35 r. wystąpił przeciw uchwale o wywłaszczeniu bez odszkodowania obszarów. Demonstracyjnie opuścił Kongres, ale... wrócił w trzy miesiące potem na fotel vice-prezesa stronnictwa, zaopatrzony w mandat prezesa poznańskich Kół Rolniczych, opanowanych całkowicie przez obszarników.

Taki był (w uproszczeniu) stan wiedzy politycznej, taki obraz oceny ideologicznych i interesów klasowych w Kierownictwie Stronnictwa.

Kiedy w masach chłopskich w toku walk strajkowych manifestacji i pacyfikacji kielkowała i rozwijała się świadomość rewolucyjna i do rewolucyjnej pracy, kiedy pojęcie „ludu” rozszerzało się w toku tych walk i w toku bezlitosnego życia bezrolnych i małorolnych na klasę robotniczą, jako podlegającą temu samemu losowi, jako sojusznicą i zderzającą zderzeniem do walki o władzę, się polityczną — w górach Stronnictwa Ludowego pogłębiało się „zawładanie ręką” przez ideologię burżuazji, niekonsekwentnej, zdradzającej siebie i dlatego tak świetnie wygrywającej przy pomocy nieprzewidywalnych przez siebie relikwów feudalizmu (stanowów chłopskich i obrzędów religijnych magiczności, irracjonalizmu) oraz zapóźnieli w rozwoju gospodarczo-społecznym, właściwych dla „nie-dorozwiniętego kapitalizmu”, który wchodził w fazę półkolonialnej zależności i faszystowskiego zrostu burżuazji własnej z penetrującą w kraju zagraniczną (kraj chłopski, młot „trzęsiej sily”)

5. UTOPIE A WALKA I TERROR

Wydaje się, że Nowosielce w r. 1936, jako koncepcja, która poddała endeckim dziennikarzom, mogła odpowiadać utopizmowi i M. Rataja i młodych agrarystów. A nuż się da wprowadzić reprezentanta rządu i wojska w „gacikie dumania”? W ów błysk, lejący przez stulecia, który rozświetlił historię patriotyzm chłopski, miłość ojczyzny, wolność do jej obrony, ukaże ogólnoludowy ideał, drżące od stuleci w pie

Roman Bratny

KOMUNISTKA

Nike! — byle objąć cię za szyję

odłożyłbym swoje ręce jak rękawiczki

— wolę po światowym zwycięstwie być inwalidą,

niż zdrowy otwierać w kraju obcym posłom drzwiczki.

A co to jest „Nike”? — to zwycięstwa

bogini

— ta, której pocałunek może człowieka

kosztować pomieszanie zmysłów.

Dla niej można oddać wszystko, stracić np. nogę do stawu biodrowego

w walce, która triumf poprzedza

— ale wolę kulawy maszerować do niego,

niż siedzieć zdrow, krzyczeć na wiecach.

Gdy nocami

formują fronty, armie

chciałbym

na chińskim froncie bić się o Azję.

Gdy ciemność skrzydłem

łagodnym okrywa oskrzydłającą operację

— chciałbym być bodaj prostym zwykłym

w komunistycznym sztabie.

Widziałem ręce przez faszystów obcięte,

kóre się w pięść zaciskały,

ale widziałem

zdrowe mścicieli ręce.

Nike! — komunistko skrzydłata,

dzień w dzień w marszu,

noc w noc w locie cię widzę

do zjednoczonego świata!

Na spotkanie tobie biegną Chiny.

Grecja na ciebie czeka.

Wszystkim, wszystkim, wszystkim

ludom wolność niesiesz — cóż, że i ranę dla niejednego człowieka.

chłopskich. Może uwierza w godność chłopca, w jego „moralną dojrzałość” do współgospodarzenia? Szlifom genejałskim wystawiono naprzeciw szlachetność wychowanków „saloniku chłopskiego” i staromodnych parlamentarzystów. Na kopiec wójta Pyrza zbiegły się z kraju masy chłopskie. Mobilizacja szła po linii zwolenników „narodowego spotkania”. Obrzęd manifestacji zbił z tropu i uciśzył masy. Rozumiano, wędrując do Nowosielce, że to minione strajki, ofiary i manifestacje przygotowały grunt, że się będzie jakby dyktowało warunki. Agraryści zawiedli masy chłopskie. Wmówili im swój stosunek do rządu, swoje idealistyczne nadzieje wobec regimu. To wzmówienie czyta się w sprawozdaniu Młodej Myśli Ludowej „Jeszcze raz przyszli, jeszcze chcą mówić. Może to złuda tylko ich krokami kierowała, ale przyszli i powiedzieli. Wykazali najlepszą swą wolę”.

To złuda agrarystów tak pokierowała masami chłopskimi i oczekiwaniami w kraju. Rydz-Smigiły wycenił „defiladę chłopską” odbyłą przed cieniem wójta Pyrza, który służył wiernie szlachcie, i przed swoim legionowym majestatem miarka Piłsudskiego z roku 1930. Żądania „defilady chłopskiej” to coś, w co trzeba rąbnąć jeszcze śmieiej, niż w rezolucję „Centrolewu”. W trzy dni później zaczęły się pacyfikacje. W Krzeczowicach policja zastrzeliła 5-ciu chłopów, w Ostrowie 7-miu. „Narodowo-historyczny” tok obchodów uzupełniony został po Nowosielcach „Świętem Czynu Chłopskiego” (dnia 15 sierpnia). Ale manifestujące dwu milionowe rzesze chłopskie nie czekały się i nie odwoływały do rocznicy. Wysłunio żądania generalnego strajku przeciw sanacji. Odpowiedziało na to była straszliwa pacyfikacja zamajszczyzny, hrubieszowskiego, tomaszowskiego i krasnostawskiego. Wiele wsi zostało spalowanych, setki budynków rozwalonych. Późną jesienią nowych 200 wielkich procesów, z których oskarżani z reguły chłopci, o komunizm poszli na długoletnie więzienia.

„Dopiero zdecydowane przesunięcie punktu ciężkości ku warstwie chłopskiej może pchnąć Polskę na historyczne szlaki rozwoju” — pisał Miłkowski. „Innych źródeł w Polsce nie ma”. A tymczasem chłopci gineli i szli do więzień za „komunizm” i pod mianem „komunistów”. Bo walcząc naprawdę o zwalenie ustroju kapitalistycznego zwyciężyli i w głowach sanacyjnych władców — iś do sojuszu z proletariatem, jedynym konsekwentnym wrogiem burżuazji. A chłopci w terenie, w powiatowych manifestacjach i strajkach walczyli naprawdę, zjadliwie, ostatecznie.

6) DO ZYSKOWNEGO KOMPROMISU

W tym samym 36 r. montuje się „Front Morges”. Tu przybliży się vice-prezes Stron-

nictwa, Mikołajczyk. Miał to być front Stronnictwa Ludowego współ z prawicą (Chadecja, Narodowa Partia Robotnicza i grupy Narodowej Demokracji pod wspólną firmą Stronnictwa Pracy) do walki z sanacją lub zyskownego z nią kompromisu. Byłaby to walka w łonie burżuazyjnego obozu. Rozstrzygać musiałyby tu te same siły imperializmu faszystowskiego. Od myślenickich wystąpień Doboszyńskiego przez drogę ONR-u i NSZ-tu formował się wzór konkurencyjny dla faszystowskiego sanacyjnego. Kiedy się, jak Mikołajczyk reprezentowało interesy kulackie, a monopolistyczny kapitał, w cieniu umocnionej sanacji, i niewieskie obszarnictwo przycisnęły również klasę kapitalistów wiejskich, w tym momencie jako sprawa dnia, wysunął się zyskowny kompromis. Nowa „Lanckorona”. Prof. Kot siał ideologiczny wiatr. Jego „unarodowienie” ruchu ludowego podchwytował natwem Miłkowski, widząc w tym wejście Polski „na historyczne szlaki rozwojowe”.

Równoległe Nowosielce, Krzeczowice i Zamajszczyzna musiały doczekać się rozwiązania. Kongres S. L. w styczniu 37 r. zatwierdził żądania z manifestacji zamajszkich. Strajk generalny został postanowiony pod hasłami: likwidacji sanacyjnego systemu, walki z faszysmem, głębokich (?) reform społecznych wraz z reformą rolną.

Zamajskie pacyfikacje i więzienia pozostawiły testament określający nie tylko co, ale i jak. W kręgu wpływów i zadań „frontu ludowego” strajk generalny oznaczał więcej niż manifestację, początek walki, wydanej burżuazji i jej ustrojowej władzy, skupionej w aparacie administracji, policji i wojska. Podjąć walkę t. zn. znaleźć sojuszników do walki i wspólnym frontem atakować i przeznaczyć burżuazję. Wygrała w łonie N. K. W. frakcja strajku osamotnionego, wykluczającego uzgodnioną, wspólną akcję z organizacjami robotniczymi. Przewodził jej Mikołajczyk i Kot. M. Rataj, nie wierząc w takich warunkach w pomyślny rezultat akcji strajku, oddał przewodnictwo N. K. W. Mikołajczykowi. Kongres żądał walki z sanacją. Ale organizatorzy strajku zaczęli od „ubezpieczenia” sanacji. Wyłączyli z pola walki województwa wschodnie, te które miały najdłuższą, najwcześniejszą rozpoczętą tradycję strajków chłopskich i w toku tych walk najmocniej, najpowszechniej osiągnęły świadomość sojusznika proletariatu, najpowszechniej rozwinięły współdziałanie z komunistami.

7) WŁAŚNIE: „DO LUDU PRACUJĄCEGO POLSKI”

Rok 37 rozkołysały dwie wielkie manifestacje chłopskie. W kwietniu pod Racławicami (w rocznicę Kościuszkowską). Padło dwóch zabitych i kilkunastu rannych; w maju — Święto Ludowe z udziałem 2 milionów ludzi.

15 sierpnia proklamowało Stronnictwo Ludowe powszechny strajk tygodniowy. Osa-

motniony strajk. Nie pozostał on jednak osamotniony. Powielaczowe ulotki S. L. u zostały przesłane w dziesiątkach tysięcy wydrukowanymi Odezwaniami Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Polski.

Tekst rezolucji S. L. u zaczynał się od słowa: „Chłopi!” Odezwa K. P. P. zatytułowana była: „Do ludu pracującego Polski”. Rezolucja oznajmiała (chłopom) „zachowajcie się spokojnie — godnie... w drodze manifestacyjnego strajku chłopskiego pragniemy wywalczyć posłuch dla siebie i naszych żądań”.

Posłuch dla żądań... w spokojnej, godnej manifestacji? Czy otrzymał go Centrolew, czy otrzymały Nowosielce? Otrzymały strajki wołyńskie, chłopci spod Lubli, Łapanowa, Lesko, Jadowa, Daleszy, Krzeczowice, Ostrowia, Zamajszczyzny i Racławic? Posłuch dla samotnych? Spokój wobec samotnych? Ile to się polało krwi na przestrzeni ostatnich pięciu lat? Ilu padło, ilu wtrącono do więzień?

Kto ludzi chłopów, że zachowają się spokojnie, że manifestacyjny strajk przejdzie godnie, że znajdzie posłuch? Kto stawia w tak samobójczej, beznadziejnej i przegranej z góry sytuacji masy chłopskie? Przecież to jest walka! Dlatego Odezwa K. P. P. krzyczy... „Towarzysze robotnicy i pracownicy! Ludność miejska! Walka wsi musi znaleźć jaknajpełniejsze poparcie miast!!!”

„Zrozumieli to dobrze robotnicy i pracownicy dziesiątków miast i miasteczek Lubelszczyzny, Kielecczyzny i Małopolski, którzy strajkami solidarnościowymi poparli walczących chłopów.”

Zrozumiał to proletariat Krakowa, który 25 sierpnia powszechnym strajkiem demonstracyjnym wypowiedział się za wspólną walką ludu całej Polski...

Towarzysze i Obywatele. Przełamać trzeba mur milczenia, którym faszysm chce otoczyć bohaterską walkę chłopstwa”.

Bohaterska walka chłopska, zaczęła się ona już od lat, trwa i znów teraz składa ofiary krwi, o cóż to i przeciw czemu ta walka wznowia się i zaostrza? Rezolucja S. L. u wskazuje jako cel: „likwidację dyktatorsko-biurokratycznego systemu rządu”. Kryje zatem klasowy, polityczny sens strajku. Odezwa K. P. P. wysuwa go przed oczy chłopstwa.

„Setki tysięcy chłopów wystąpiły 15 sierpnia, wystawiając burżuazji i faszysmowi rachunek za 17 lat krzywdy i nieszczęść, ucisku i wyzysku”.

A burżuazję i faszysm jak można zlikwidować? W drodze strajku samego chłopstwa? A strajkiem wywalczyć posłuch u tej burżuazji i władz faszystowskich dla żądań Stronnictwa, tzn. liczyć na to, że burżuazja da Stronnictwu posłuch i sama siebie zlikwiduje?

Takie stawia jej żądanie — „zachowujcie się spokojnie — godnie”? T. zn. w stanie zupełnego rozbrojenia wyznaczyć burżuazji i rządowi faszystowskiemu, że się pragnie ich likwidacji? To kto kogo wówczas zlikwiduje? Burżuazja i faszysm trzymają w ręku aparat władzy państwowej, materialną siłę: administrację, policję, wojsko. Czymże jest zatem słowo „likwidacja” w rezolucji jak nie frazesem? I w imię frazesu wezwano do strajku powszechnego masy chłopskie? Wied doprasza się posłuchu — nie walka? Nie walka, a odpowiedzialność przeciw jak w najostrejszej wojnie klasowej. Przesłano oblicze wroga klasowego i nie ujawniono oblicza sojusznika, nie ujawniono warunków zwycięskiej walki. Bo z frontem faszystowskim walczą może skutecznie tylko Front Ludowy! O tym mówi odezwa K. P. P. Bo z burżuazją — solidarna walka mas ludowych miast i wsi! O tym mówi odezwa.

Rezolucja nie daje hasła walki z ustrojem dlatego nie odsłania burżuazji i faszysmu jako wrogów, nie wskazuje proletariatu, jako sojusznika i przywódcę we wspólnej walce ludu całej Polski, nie wskazuje na nieukonieczoną zbieżność interesów chłopstwa i proletariatu, i na ich wspólną siłę masową, zdolną przezwyciężyć wszystkie siły kontrrewolucji.

Nie podnosi mas chłopstwa do rewolucyjnego wzniesienia tylko je spycha do reformistycznych targów, którymi ubezpiecza się burżuazja i faszysm. O co tu walczycy, gdy rezolucja mówi tylko o „zmianie polityki zagranicznej”. Tylko tyle na ten temat.

Odezwa K. P. P. woła wielkim głosem: „Wolność i niepodległość znaczy dziś: usunięcie od rządów Becka i jemu podobnych agentów hitlerowskich, zerwanie paktu z Hitlerem, wejście Polski do bloków państw pokojowych...”

Wspólna walka całego ludu Polski z burżuazją i faszysmem, to walka o wolność ludu i wolność narodu. Te dwa fronty wskazując: klasowy i narodowy, w ciężkim była położeniu K. P. P., bo w samym ruchu robotniczym prawica P. S. S.-u i Zw. Zaw. sprzeciwiała się wspólnym wystąpieniom robotniczo-chłopskim

Ale też tylko ona jedna (K. P. P.) rozumiała wagę społeczną i polityczną jednolitego, walczącego frontu ludowego

„Nic tu nie pomoże tłumaczenie się terrorem rządowym i groźbą zamknięcia związków, organizacji i pism robotniczych, w razie gdyby one solidaryzowały się z walką chłopów. Istnieje bowiem możliwość przeciwstawienia się wszelkim groźbom i terrorowi faszystowskiemu. Jest na te ataki środek. A jest nim umocnienie szerokiego frontu demokratycznego. Gdyby ten front był umocniony, gdyby P. P. S. oficjalnie poparła walkę chłopstwa, gdyby wespół ze Stronnictwem Ludowym, związkami zawodowymi i wszystkimi organizacjami robotniczymi i demokratycznymi organizowała walkę mas — walka ta byłaby wygrana...”

(C. d. n.)

Jan Aleksander Król

M. B. Mitin

DEMOKRACJA BURZUAZYJNA



Oto wyrzeźbione w skalach głowy wielkich twórców Stanów Zjednoczonych: Washingtona, Jeffersona, Theodora Roosevelta i Lincolna — pomniki demokratycznej przeszłości USA, której uraga dzisiejsza marshallowska rzeczywistość

Zasadniczą cechą burżuazyjnej demokracji — jak to niejednokrotnie zaznaczali w swych pracach klasycy marksizmu-leninizmu — stanowi fakt, że jest ona demokracją mniejszości wyzyskujących skierowaną przeciw większości. Lenin i Stalin, mówiąc o burżuazyjnej demokracji, podkreślali, że była ona niewątpliwie postępowa w porównaniu ze stosunkami społecznymi feudalizmu i średniowiecza. Klasa robotnicza wykorzystywała i stara się wykorzystywać w swej walce klasowej ramy burżuazyjnej demokracji w celu stworzenia i wzmocnienia swych klasowych organizacji. Lenin i Stalin, podkreślając znaczenie burżuazyjnej demokracji dla klasy robotniczej, zaznaczali jednocześnie, że jako zbudowana na fundamentach prywatnej własności środków produkcji, jest ona jedynie formalna, kłamliwa i ograniczona.

„Burżuazyjna demokracja — pisał Lenin — będąc wielkim historycznym krokiem naprzód w porównaniu ze średniowieczem, jest — i w ustroju kapitalistycznym nie może nie być — demokracją wąską, ograniczoną, fałszywą i obłudną, rajem dla bogatych, a pułapką i kłamstwem dla wyzyskiwanych, dla biednych”¹⁾.

Obróńcy burżuazyjnej demokracji usiłują ukryć pod pięknymi frazesami o „równości, wolności i braterstwie” faktyczne panowanie wyzyskiwaczy nad wyzyskiwanymi, oparte na prywatnym posiadaniu środków produkcji.

„Z punktu widzenia proletariatu — pisał Lenin — zagadnieniem można rozpatrywać tylko następujące: wolność od ucisku jakiej klasy? równość jakich klas? demokracja na podstawach prywatnej własności, czy walki o zniszczenie prywatnej własności? itd.”²⁾

Z całą ścisłością analizy marksistowskiej Lenin i Stalin zrywali maski z burżuazyjnej demokracji i stawiali zagadnienie na jedynie słusznej i naukowej płaszczyźnie.

Tow. Stalin w referacie nad projektem Konstytucji ZSRR mówił: „Mówi się o równości obywateli, ale zapomina się, że nie może być rzeczywistej równości między właścicielem a robotnikiem, między obszarnikiem a chłopem, jeśli pierwsi posiadają bogactwo i wpływy polityczne w społeczeństwie, drudzy zaś są ich pozbawieni, jeśli pierwsi są wyzyskiwaczami, drudzy — wyzyskiwanymi. Mówi się o wolności słowa, zgromadzeń i prasy, ale zapomina się, że wszystkie te cechy wolności stają się dla klasy robotniczej pustymi frazesami, jeśli jest ona pozbawiona możliwości dysponowania odpowiednimi pomieszczeniami na zebrania, dobrymi drukarniami, dostateczną ilością papieru dla druku itd.”³⁾. Klasycy marksizmu-leninizmu wyjaśniając właściwości historii i tradycji burżuazyjnej demokracji w każdym kraju, jednocześnie wykazywali, że „naj-

bardziej demokratyczna republika burżuazyjna jest machiną służącą do uciskania proletariatu przez burżuazję”⁴⁾.

Epoka imperializmu różni się od poprzedniego okresu epoki wolnej konkurencji tym, że w epoce imperializmu w życiu państwowym następuje na całej linii nawrót do reakcji politycznej. Zarówno w polityce zewnętrznej jak i wewnętrznej imperializm dąży do naruszenia demokracji i ugruntowania rządów reakcji. Te wsteczne dążenia imperializmu coraz ostrzej ujawniają się we współczesnym życiu politycznym Anglii i USA. A przy tym obrońcy imperializmu nie przestają zapewniać o wszelkiego rodzaju „swobodach”, właściwych rzekomo burżuazyjnej demokracji.

Weźmy na przykład zagadnienie tzw. „wolności prasy” w państwach burżuazyjnych. Fakt, że wychodzi tam mnóstwo gazet o różnych kierunkach, że gazety te w poszczególnych zagadnieniach polemizują ze sobą, wyrażają rozmaite punkty widzenia, że w tych gazetach krytykuje się czasami kapitał burżuazyjnego okrętu — jest wysławiany pod niebiosa przez obrońców burżuazyjnej demokracji jako świadectwo wolności prasy, istniejącej jakoby w krajach burżuazyjnych.

W rzeczywistości zaś tzw. „wolność prasy” w burżuazyjnym społeczeństwie nie oznacza nic innego, jak wolność dla kapitalistów, która pozwala im trzymać w rękach prasę i zgodnie ze swoimi interesami „kształtować opinię publiczną”. „Wolność” druku w kapitalistycznym społeczeństwie — mówi Lenin — oznacza dla kapitału swobodę handlu prasą i oddziaływanie na masy ludowe. Wolność druku oznacza utrzymywanie prasy, tej silnej broni urabiania mas ludowych na rzecz kapitału”⁵⁾.

Taka jest prawdziwa wartość burżuazyjnej wolności prasy. Fałsz tzw. swobód, w szczególności wolności prasy, muszą uznać nawet liczni publicyści, socjologowie, obrońcy burżuazyjnej demokracji.

Marks w swojej pracy „18 Brumaire’a Ludwika Bonaparte” charakteryzując burżuazyjne konstytucje pisał: „Każdy paragraf konstytucji zawiera w sobie swoje własne przeciwieństwo... wolność — w zdaniu ogólnym, zniesienie wolności — w omówieniu... mniejszości eksploatatorów”⁶⁾.

Lenin opierając się na dalszych doświadczeniach historii w następujących słowach kontynuował tę charakterystykę burżuazyjnej wolności: „W burżuazyjnej demokracji kapitaliści odsuwają masy od udziału w rządach, od wolności zgromadzeń i prasy itd. przy pomocy tysięcy oszustów, tym zresztą szerszych i pewniej działających, im wyżej stoi „czysta” demokracja. Burżuazyjny parlament (który nigdy nie decyduje w poważnych zagadnieniach burżuazyjnej demokracji, decydując o tym giełda i banki) jest odgradzony od mas pracujących przez tysiące barier i ro-

botnicy doskonale wiedzą, czują i widzą, że parlament burżuazyjny jest instytucją obcą, narzędziem ucisku proletariatu przez burżuazję, instytucją wrogią klasy.

Istnieje wiele ograniczeń powszechności wyborów zarówno w Anglii jak i w USA. Te ograniczenia prawa wyborczego występują również w postaci cenzusu wykształcenia, podatku na prawo wyborcze i wielu innych. W Ameryce Murzyni mają formalne prawo uczestniczenia w wyborach, jednak w ciągu pięćdziesięciu lat/tylko jeden Murzyn wszedł do parlamentu.

W 1944 r. w USA ukazała się książka pt.: „Demokracja zaczyna się w swojej ojczyźnie”. Autor, redaktor gazety „Tennessee” poświęcił swoją książkę zagadnieniu podatku wyborczego w stanie Tennessee i w ogóle w południowych stanach. Książka odkrywa niezwykle ciekawy obraz moralności współczesnej amerykańskiej demokracji. Okazuje się, że w USA od 1889 r. do 1908 r. wszystkie stany zaczęły stopniowo wprowadzać swoisty podatek wyborczy. Ustalono zasadę, że bez uregulowania tego podatku obywatel stanu nie mógł wziąć udziału w wyborach.

W jaki sposób wpłynął powyższy podatek na wybory? W 1936 r. miały miejsce wybory gubernatora stanu Tennessee. Z 1.200.000 wyborców w głosowaniu wzięło udział tylko 352 tys. ...

W 1945 r. w wyborach do parlamentu w Anglii wzięło udział ponad osiem milionów czyli 25 proc. wyborców. W USA w ostatnich wyborach do kongresu wzięło udział tylko 39 proc. wyborców co cała prasa amerykańska uważała za wskaźnik dużej aktywności wyborczej.

Istotą burżuazyjnej demokracji i wolności politycznej w rozumieniu współczesnej burżuazji wykazały wybory do władz ustawodawczych we Włoszech w kwietniu 1948 r.

Aby zapewnić zwycięstwo burżuazyjnej reakcji nad partiami frontu ludowego we Włoszech, międzynarodowa imperialistyczna reakcja z USA na cele wystąpiła z otwartą groźbą zbrojnej interwencji w stosunku do Włoch w razie zwycięstwa partii frontu ludowego...

Wojna (1914—1918 r. — dop. tłum.) zerwała maskę z burżuazyjnej demokracji, wykazała, że dążenia ekspansywne państw imperialistycznych spowodowały śmierć milionów. Oblicze burżuazyjnej demokracji zostało w okresie powojennym jeszcze bardziej zdemaskowane. W szeregu państw europejskich, w pierwszym rzędzie w Niemczech i we Włoszech utworzyła ona faktycznie drogę faszystowski. Faszysty zaczęli rozpalać zarzewie nowej wojny światowej, a sfery rządzące państw „demokratycznych”, szczególnie konserwatywne sfery rządzące Anglii zajmowały się polityką „uspokajania” faszystów, układów z faszystowskimi „führerami”, polityką ustępstw na rzecz faszystów, szczucia faszystowskich agresorów na ZSRR. Zaś sfery rządzące USA finansowały uzbrojenie Niemiec.

7) K. Marks. Dzieła wybrane, t. II, 1941, str. 264.

W rezultacie faszystowskiej agresji wywołali nową wojnę światową, która pochłonięła dziesiątki milionów istnień ludzkich i spowodowała niebezpieczeństwo utraty wolności i niezawisłości narodów Europy i całego świata oraz demokratycznych osiągnięć mas pracujących.

Jednakże nawet druga wojna światowa nie wiele nauczyła sfery rządzącej współczesnych burżuazyjnych państw „demokratycznych”, które również obecnie odnoszą się pozbliżenie do elementów faszystowskich. Reakcyjne grupy USA prowadzą antyludową politykę wewnętrzną, skierowaną przeciw organizacjom robotniczym, przeciw postępowej myśli społecznej i postępowym działaczom społecznym. Rządy państw imperialistycznych prowadzą politykę popierającą reakcyjne elementy na całym świecie, politykę zmierzającą do zdławienia wolnościowych ruchów narodowych w krajach kolonialnych. W ogromnych rozmiarach następuje militarystyka państw starej burżuazyjnej demokracji, która w epoce kapitalizmu przedmonopolistycznego wyróżniała się między innymi słabym rozwojem militarystyki i wojskowości.

Na stronach reakcyjnej prasy i w Kongresie Amerykańskim coraz częściej występuje się z żądaniem zdelegalizowania partii komunistycznej. Mac Cornie przeszedł jeszcze dalej, żądając nie tylko delegacji partii komunistycznej w USA, ale i „krucjaty przeciw komunizmowi w Europie”...

W marcu 1947 r. minister pracy USA Schwellenbach w komisji do zagadnień pracy i oświaty wypowiedział się za delegacją komunistycznej partii USA. Wzywał do usuwania komunistów z wszelkiego rodzaju instytucji społecznych oraz pozbawienia ich prawa obejmowania stanowisk w związkach zawodowych. Cała ta kampania została uwieńczona niezwykle reakcyjnym projektem Mundta, skierowanym przeciw elementarnym prawom obywatelskim robotników i w ogóle pracujących.

Amerykańscy imperialiści na wielką skalę popierają elementy reakcyjne w Japonii, imperialiści USA i Anglii okazują pomoc reakcyjnym elementom w Europie, na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w Grecji i w Turcji...

Wojska holenderskiej „demokracji” przy współudziale Anglików dławia walki narodowo-wyzwoleńcze w Indonezji...

Dzięki pobłażliwości rządu Labour Party w Anglii swobodnie rozwija się działalność faszystowskich organizacji... Otwarcie aktywizują się elementy faszystowskie w Południowej Afryce... Wódz faszystowskiej partii w Kanadzie niedawno oświadczył, że faszizm jest obecnie w Kanadzie silniejszy niż kiedykolwiek...

Doświadczenie historii państw burżuazyjnej demokracji uczy, że pozostawienie wolności działania faszystom oznacza groźbę najcięższego ucisku mas pracujących i niebezpieczeństwo utraty wolności narodowej. Pozostawienie swobody działania wrogowi demokracji nie jest demokracją a jej zaprzeczeniem...



„Amerykański obywatel”

¹⁾ Lenin, Dzieła, t. XXIII, str. 348.

²⁾ Lenin, Dzieła, t. XXIV, str. 515.

³⁾ Stalin, Zagadnienia leninizmu, wyd. 11, str. 517.

⁴⁾ Lenin, Dzieła, t. XXIII, str. 220.

⁵⁾ Lenin, Dzieła, t. XXIV, str. 423.

⁶⁾ Lenin, Dzieła, t. XXIV, str. 423.

Witold Jedlicki

WATYKAN NA SPRZEDAŻ

Dzieje pontyfikatu Piusa XII zaskoczyły i rozczarowały wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób oczekiwali od Watykanu, że użyje on swego autorytetu moralnego dla potępienia winnych zbrodni przeciw ludzkości. Takiego potępienia oczekiwało wielu wierzących i niewierzących, oczekiwali wszyscy ofiary hitlerizmu, oczekiwali szczególnie Polacy. Zamiast tego w ciągu dziesięciu lat swojego pontyfikatu Pius XII wielokrotnie manifestował swą solidarność z faszystem niemieckim, a jeżeli kierował przeciw komuś słowa potępienia, to przeciw tym, którzy walczyli o pokój i sprawiedliwość społeczną.

Stanowisko takie wynikało z ustalonej od dawna linii politycznej Watykanu, której Pius XII jest jedynie konsekwentnym realizatorem. Wszystkie jego posunięcia i enuncjacje nie mogły zdziwić ani zaskoczyć nikogo, kto zna historię kościoła.

1.

T. Gruda w swej interesującej pracy p. t. „Od Królestwa Bożego do Monarchii Uniwersalnej” próbuje określić wytyczne i zasadnicze tendencje polityki papieskiej w jej historycznym rozwoju.

Zaczyna się od dążenia do stworzenia prymatu biskupa rzymskiego nad innymi biskupami. Prymat ten uzasadniano wersem Ewangelii św. Mateusza, relacjonującym słowa Chrystusa, skierowane do św. Piotra: „Cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiosach”. Słowa te nie figurują w Ewangeliach św. Marka i św. Łukasza przy opisie tych samych zdarzeń, które relacjonuje św. Mateusz; dlatego też Gruda stawia hipotezę, że ustęp ten został skomponowany później. Idea prymatu biskupa rzymskiego jest realizowana powoli w ciągu pierwszych stuleci istnienia chrześcijaństwa. Początkowo biskup rzymski jest równym innym biskupom; później ustala się tradycja, nakazująca traktować biskupa rzymskiego, jako pierwszego między innymi; następnie, od początku III w., biskupi rzymscy, opierając się na tej tradycji, dążą do ugruntowania swej władzy nad innymi biskupami. Wreszcie przejście Konstantyna Wielkiego na chrześcijaństwo i przeniesienie stolicy cesarstwa do Konstantynopola zadecydowało definitywnie o nieograniczonym wpływie papieża już nie tylko na rządy kościoła, ale nawet na rządy państwem rzymskim.

Po zrealizowaniu pierwszej z zasadniczych tendencji papieństwo przystępuje niezwłocznie do urzeczywistnienia drugiej: ugruntowania świeckiej władzy papieża. Zasadniczo początek władzy świeckiej papieża przypada na wiek VIII, kiedy to król francuski Pepin Mały oddaje papieżowi w lenno dużą połać Włoch Środkowych. W dalszej walce o usamodzielnienie i powiększenie swej władzy świeckiej papież nie cofa się znów przed fałszywstwem. T. zw. Donatio Constantini i Decretaria Pseudo-Izidorjańskie, to sfałszowane dokumenty, stwierdzające jakiegoś rzekome darowizny Konstantyna Wielkiego na rzecz papieństwa. Jest rzeczą niewątpliwą, że dążenia polityki papieskiej w owym okresie nie dotyczyły tych czy innych prawd wiary; że zagadnienia herezji czy kacerstwa, gromionych z taką pasją przez Ojców Kościoła we wczesnym średniowieczu, zeszły na plan drugi; że cały wysiłek papieństwa obliczony był na ukonstytuowanie silnego państwa feudalnego i że w realizowaniu tego wysiłku papieństwo nie pytało o uczciwość środków. W w. X Watykan podjął próbę całkowitego narzucenia swej władzy poszczególnym domom feudalnym, tworzącym państwo w państwie. Stąd wieloletnia wojna z grafami tuskulańskimi, wojna, dla uzasadnienia której trudno by znaleźć odpowiedni wersem biblijny; wojna stanowiąca wzorowy przykład rozgrywki między władcami feudalnymi. Papież Grzegorz V wojnę tę wygrywa. Idea władzy świeckiej papieża zostaje zrealizowana w pełni.

Trzecią tendencją wczesnej polityki papieskiej, już znacznie ambitniejszą od poprzedniej, jest próba narzucenia swojej woli władcom świeckim całej Europy, już nie tylko w sprawach wiary, ale co ważniejsze — w zagadnieniach czysto politycznych. Dlatego Grzegorz VII rozpoczyna mozolną pracę nad reorganizacją kleru, wiernej, potężnej armii Watykanu. O to właśnie narzucenie woli papieża władcom świeckim chodziło w momencie sporu o inwestyturę; o to, czy papież, czy cesarz ma decydować przy mianowaniu biskupów. W walce tej znów nie chodzi o sprawy wiary. Grzegorz VII sprzymierza się z pogańskim wodzem Normanów, Robertem Guiscardem przeciwko katolickiemu cesarzowi Henrykowi IV. Podobnie Innocenty III toleruje ateistyczne poglądy Fryderyka II Hohenstaufa i rozpoczyna z nim wojnę dopiero wtedy, kiedy ten podejmuje akcje polityczne na terenie Włoch.

Kres tych wielkich ambicji, światowładnych zamierzeń, ukoronowanych encykliką „Unam sanctam” Bonifacego VIII, zawierającą niograniczone pretensje kościoła do władzy nad całym światem, przypada na początek XIV w., kiedy Stolica Apostolska przenosi się do Avignonu, gdzie zostaje całkowicie uzależniona od dynastji francuskiej. Pontyfikat Bonifacego VIII jest szczytem potęgi politycznej Watykanu. Od tego czasu datuje się upadek. Pomimo to roszczenia i pretensje nie nikną. Jeszcze w końcu XIX w. Leon XIII

zażąda dla kościoła tego wszystkiego, czego żądał Bonifacy VIII.

W całym okresie dążeń do objęcia zwierzchnictwa nad władzami świeckimi podstawową metodą walki jest kłatwa. Kłatwa kierowana jest zawsze przeciw wrogowi politycznemu; zawsze też przynosi Watykanowi realną korzyść polityczną. Przyczyną jej jest zawsze sprzeciwienie się woli papieża, prawie nigdy różnica zdań w sprawach wiary, skutkiem zaś — zamieszki w obozie wyklętego, z czego Watykan obficie korzysta. Inna sprawa, że nadużywanie tej metody przez coraz częstsze jej stosowanie doprowadziło do tego, że w końcu straciła ona swe dawne znaczenie i przestano się nią przejmować.

2.

Tak więc w wieku XIV kończy się okres najświetniejszy dla papieństwa, okres, w którym papież jest de facto uniwersalnym monarchą całej Europy, któremu podlegają — i, co najważniejsze, płacą daniny, poszczególni władcy krajów europejskich. Złamać ową potęgę udaje się królom francuskim Filipowi Pięknemu, który przenosi Stolicę Apostolską do Avignonu, gdzie przez kilkadziesiąt lat rządzi kościołem figuranci Kapetyngów. Następnym bolesnym ciosem dla Watykanu jest reformacja, która odrywa od katolicyzmu cały szereg krajów północnej Europy. Reformacja zbiega się chronologicznie z okresem ogromnego rozprężenia moralnego całego kleru, począwszy od najwyższej hierarchii a kończąc na dołach. Jednakże Watykan nie czyni nic, aby zapobiec temu rozprężeniu; przeciwnie — toleruje je, kierując cały swój wysiłek na zwalczanie reformacji. W walce tej Watykan nie polemizuje, nie dyskutuje, nie usiłuje nawet nikogo przekonać; jedyną metodą walki jest siła i postęp. Watykan żąda posłuchu, nie próbując nawet uzasadnić swych rozkazów, a kto posłuchu odmawia, ten zostaje zniszczony siłą. Jednocześnie zostaje wszczęta ofensywa przeciwko postępowi nauki. Potępienie zostają odkrycia Kopernika, Galileusza, Giordana Bruna. Na ten okres także (specjalnie na pontyfikat Sykstusa V) przypada początek wielkiej, nowoczesnej potęgi finansowej Watykanu.

Fiasko koncepcji monarchii uniwersalnej, spowodowane głównie brakiem siły militarnej, przy pomocy której Watykan mógłby narzucić swoją wolę monarchom europejskim, doprowadziło do tego, że Watykan zaczął powoli podporządkowywać się coraz bardziej innym państwom. W XIV w. papież był posłusznym woli Kapetyngów, od w. XVII Habsburgowie zdobywają sobie coraz bardziej nieograniczony wpływ na Watykan. I tutaj zaczyna się nowa era w historii kościoła, kiedy Watykan staje się posłusznym narzędziem, używanym przez Habsburgów do walki z postępowymi dążeniami ludów europejskich. Począwszy od Piusa VI, który potępił Wielką Rewolucję Francuską, niemal każdy papież kieruje słowa potępienia pod adresem tych, którzy walczyli o wolność i sprawiedliwość społeczną. Figurant Metternicha, Grzegorz XVI, w encyklice „Mirari vos”, potępia zasadę wolności wyznania i sumienia. Tenże Grzegorz XVI potępia polskie powstanie listopadowe i nakazuje Polakom bezwzględne posłuszeństwo caratowi. Szczyt tych tendencji uwidacznia się za 32-letniego pontyfikatu Piusa IX, który wydaje wymierzona również w wolność sumienia encyklikę „Quanta cura”, dołączając do niej tzw. Syllabus. Ową Syllabus zawiera 80 tez pisarzy wrogów kościoła, z których każda jest poprzeczona słowami: „Wyklęty, który powie”. Bez żadnych komentarzy, bez żadnego uzasadnienia. Słuchać i milczeć! Tak więc: „Wyklęty, który powie: władza kościelna nie powinna narzucać swojego autorytetu bez pozwolenia i zgody rządu świeckiego. Wyklęty, który powie: kościół nie ma prawa używać siły, nie posiada żadnej władzy doczesnej, bezpośredniej lub pośredniej”. I tak dalej. Na liście potępionych figurują wszystkie postępowe poglądy filozoficzne, społeczne, polityczne, ekonomiczne, figuruje nawet cała cywilizacja

współczesna, wraz ze wszystkimi jej zdobyczami. Z inicjatywy tegoż Piusa IX został ustanowiony dogmat katolicyzmu o nieomyślności władzy papieskiej. Jako ciekawostkę można przytoczyć sprawę papieża Honoriusa I, który opowiedział się za herezją monoteletów, za co został później potępiony. Istotną rzeczą jest jednak to, że, jak słusznie stwierdzają oficjalni historycy papieństwa Seppelt i Löffler, „w ten sposób uznano w konstytucji kościoła monarchią absolutną”.

Następny papież Leon XIII zmienia nieco kurs polityki papieskiej. Papież ten po raz pierwszy wypowiada się na temat kwestii robotniczej w słynnej encyklice „Rerum novarum”. To stanowisko dla oficjalnych historyków kościoła powód do otoczenia Leona XIII nimbem postępowości, do bałwochwalczych zachwytów nad wielkim papieżem, który potrafił „pójść z duchem czasu”, który, co więcej, potrafił przywrócić Watykanowi jego znaczenie, jako potęgi moralnej. Jakże mylnie to były przekonania! Przyjrzyjmy się ideologii „Rerum novarum”, ideologii prostej i nieskomplikowanej. Leon XIII zauważa nędzę proletariatu przemysłowego, nad czym ubolewa. Proponuje środki zaradcze. Jakże są te środki — z eufemistycznych zdań encykliki trudno się zorientować i nie bez kozery; dzwoniąca maniera stylistyczna Leona XIII miała bowiem maskować konkretny program polityczny, utrzymując pozory apolityczności. Środkami zaradczymi na nędzę proletariatu okazała się walka z socjalizmem. Leon XIII zaproponował syndykaty, do których wchodziłyby przedstawiciele pracodawców i pracowników. Syndykaty miały porozumiewać się ze sobą, zapobiegając „niesłusznym uroszczeniom” pracy i kapitału. Odpowiedzialność za sytuację materialną robotników spadała na kościół, państwo i klasy posiadające, które miały kierować się zasadami miłości chrześcijańskiej.

Socjalizm zostaje potępiony, jako sprzeczny z tymi zasadami. Proponowane przezeń środki zaradcze są — wedle oceny papieża — gorsze niż status quo.

Zwrot, jakiego dokonał Leon XIII w polityce papieskiej, oznaczał przejście z orientacji politycznej feudalnej na kapitalistyczną. Ideologia solidaryzmu społecznego; ideologia, która głosiła, że poprawa stosunków zależy od poprawy obyczajów (dosłownie!) klas posiadających, od tego, czy klasy posiadające zechcą, zgodnie z zasadami miłości chrześcijańskiej, wziąć na siebie odpowiedzialność za los proletariatu; przy tym ideologia jawnie antysocjalistyczna — musiała służyć obiektywnie interesom kapitału.

W momencie, kiedy burżuazja walczy o postęp przeciwko arystokracji, papieństwo służy wiernie arystokracji, zwalczając burżuazję. Kiedy sztafandar walki o postęp przejmują proletariaty, papieństwo opowiada się za burżuazją. Zasadniczo wsteczna, reakcyjna linia polityczna Watykanu pozostaje niezmienną; zmienia się tylko klasa, której Watykan się wysługuje.

Jest rzeczą znamienną, że kiedy kapitalizm dla ochrony swego zagrożonego stanu posiadania sięgnie po nową ideologię — faszyzm, zasadnicze wytyczne tej nowej ideologii będą w wielu punktach przypominać postulat encykliki „Rerum novarum”. Solidarystyczny program społeczny będzie w podobny sposób łądził robotników poprawą ich bytu; w podobny sposób będzie odwoływał ich do walki o władzę. Toteż, kiedy Pius XI w encyklice „Quadragesimo Anno” powtórzy program „Rerum novarum”, będzie to już jawne opowiedzenie się za ideologią faszystowską. Potwierdzi to von Papen, podkreślając wielokrotnie, że hitleryzm spełnia w znacznym stopniu program „Quadragesimo Anno”. Na tym tle nie wyda się też niczym dziwnym entuzjastyczne przyjęcie zwycięstwa hitleryzmu przez episkopat niemiecki. Nikogo już chyba nie zdziwi enuncjacja Arcybiskupa Groebera: „Bez zastrzeżeń popieram nowy rząd” (hitlerowski — przyp. aut.); biskupa

Gallena: „Niech (führer) usłyszy, niech wie, że my, katolicy niemieccy, niewzruszenie stojemy przy naszym narodzie i przy naszej ojczyźnie, że jesteśmy z nim w jego wysiłkach dla chwały i bezpieczeństwa Niemiec”; opata benedyktynskiego Schachleitera: „Adolf Hitler jest wspaniałym darem Wszechmogącego dla narodu niemieckiego” i t.d. (Cytuję za St. Krasowskim: „Watykan a Polska”).

3.

Postawie germanofilskiej Eugeniusza Paçelli'ego nie można odmówić konsekwencji. Był on germanofilem przed pierwszą wojną światową, był germanofilem podczas wojny, germanofilem za Republiką Weimarską, germanofilem za Hitlera i podczas całej drugiej wojny światowej; nie więc dziwnego, że germanofilem jest również teraz — pisze A. Nowicki pt. „Polityka Watykanu” (świat i Polska nr 21 r. 1948). Istotnie, kariera polityczna Piusa XII rozpoczyna się od tego, że jako nuncjusz papieski w Berlinie wywiera nacisk na niemieckie centrum katolickie, aby poparło Hitlera przeciw socjal-demokracji i komunistom. Krok ten zadecydował wówczas o dojściu Hitlera do władzy. Paçelli uczynił to niewątpliwie w nadziei zawarcia konkordatu, przyznanego przez Hitlera. Hitler jednak warunków konkordatu nie dotrzymał, tak, jak nie dotrzymał innych umów. Pomimo to Pius XII w stosunkach dyplomatycznych z Niemcami ograniczył się jedynie do ostrożnego skrytykowania postępowania wobec kleru katolickiego w Niemczech, w rzeczywistości zaś przysłużył się walcnie Niemcom w przeprowadzonej przez nich akcji germanizacyjnej Polski zachodniej przez oddawanie diecezji polskich pod zarząd niemieckich duchownych, hitlerowców, rozmaitych Spießów, Breitingerów itp. Tak więc drobne nieporozumienia zostały zażegnane na rzecz wielkich celów wspólnych.

Rzecz prosta, alians z hitlerowcami był dla Watykanu zbyt mało zaszczytny, aby mógł być ujawniony. Zasady moralności chrześcijańskiej stały w zbyt jaskrawej sprzeczności z praktyką hitleryzmu w krajach okupowanych. Dlatego Watykan przyjął taktikę milczenia i tylko od czasu do czasu udzielał błogosławieństwa bandom opryszków francuskich i hiszpańskich, idących na front wschodni. Taktyka ta zostaje przerwana z chwilą zakończenia wojny. Następuje seria filoniemieckich wypowiedzi, domagających się powrotu naszych Ziemi Odzyskanych do Niemiec i ubolewających z powodu „tragicznego” losu wysiedleńców niemieckich. Czuję papież, który milczał, gdy chodziło o rzeczywistą tragedię milionów ofiar hitleryzmu, nagle przemówił w sprawie urojonej tragedii Niemców, zamieszkujących ziemie, zwrócone Polsce. Co więcej, w jednej z tych enuncjacji (przemówienie radiowe z dnia 24.XII. 1947 r.) znajdują się słowa apelu pod adresem tych, którzy mają losy ludzkości w swoim ręku, aby wzięli wysiedleńców pod swą opiekę. Trudno oprzeć się wrażeniu, że w zwrocie tym papież kreuje na przywódców ludzkości sfery rządzące Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Jest to tym wymowniejsze, że już poprzednio, dnia 6.VIII.47 r., została otwarta oficjalna umowa o współpracy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Watykanem. Leon XIII, kierując się zasadniczą myślą walki z postępem, przesuwając orientację polityczną Watykanu z feudalizmu na kapitalizm; Pius XII, idący na pasku Niemiec hitlerowskich, jak długo przewodził on międzynarodowej reakcji w walce z postępem, przechodził w orbitę wpływów amerykańskich w momencie, gdy kierownictwo tą walką obejmują Stany Zjednoczone. Jest to, — zważywszy olbrzymie posiadłości Watykanu, zważywszy olbrzymią ilość akcji ulokowanych w najpotężniejszych bankach i przedsiębiorstwach świata, — zupełnie zrozumiałe; tylko w takim razie gdzie tak rozreklamowany autorytet moralny, gdzie apolityczność?

Dzieje pontyfikatu Piusa XII są bardzo pouczającą lekcją historii. Papież ten sięgnął po wszystkie stare i wypróbowane metody polityki swoich poprzedników. Odnosił i prześcignął „najlepsze” tradycje tej polityki. Bardzo gorliwie występował zawsze tam, gdzie chodziło o interes polityczny lub finansowy. Łatwo zapominał o postępowaniu w myśl wskazań etyki Chrystusowej, tam, gdzie było to sprzeczne z interesem. Sojusznikami jego mogli być protestanci amerykańscy, ateści tacy, jak Maurras czy Montherlant, upatrujący w Watykanie siłę, która powstrzyma wzrastającą potęgę proletariatu, neopoganie hitlerowskie nawet; wrogami — katolicy polscy, czeszy, czy węgierscy, których jedynym celem była odbudowa zniszczonych przez wojnę krajów.

Ale jeszcze jedna tradycyjna metoda polityki watykańskiej znalazła zastosowanie za czasów tego pontyfikatu. To zapowiedź kłatwy, rzucona niedawno na członków i sympatyków partii komunistycznych całego świata. Zupełnie tak samo jak w średniowieczu, ma na celu interes polityczny; dąży do wywołania rozłamu w obozie wyklętego; obliczona jest na to, że katolicy opuszczą szeregi obozu postępu i staną się posłusznymi narzędziami Watykańskiej reakcji. Fiasko tego celu jest jednak tak pewne jak pewna jest świadomość szeregowi wierzących katolików całego świata rzeczywistych intencji Watykanu.

W następnym (warszawskim) numerze „WSI” między innymi:

Zygmunt Pióro

WARSZAWA DEMOKRATYCZNA

Anna Kamieńska

CHŁOPSKIE TĘSKNOTY DO STOLICY

Kazimierz Piwarski

DZIESIĘCIOLECIE WRZEŚNIA (1939-1949)

Ankieta z terenu

CHŁOPI MÓWIĄ O WRZEŚNIU

Lech Budrecki

POWIEŚCI O CZASACH PRZEDWRZEŚNIOWYCH

Tadeusz Orlewicz

HANDLARZE I SPÓŁDZIELNIE NAD PILICĄ

Bogdan Baranowski

POLSKIE PROCESY CZAROWNIC

(Tło społeczne)

Wypadki w Gorzkowicach i Kamiensku czy wreszcie „cud lubelski” zwrócić musiały uwagę wszystkich na groźne do dziś dnia siły ciemnoty i zabobonu, a które przed wiekami wywarły dominującą piętno na życiu całego ówczesnego społeczeństwa. Jest zresztą rzeczą nadzwyczaj charakterystyczną, że wszystkie te przejawy zabobonu występowały najsilniej na ziemiach polskich w pewnym określonym czasie, który w przybliżeniu pokrywał się z największym napięciem u nas kontrreformacji katolickiej, a zarazem największym



Maść czarownic, sztych Jana Ziarnki (z drugiej połowy w. XVII)

upadkiem gospodarczym. Na tym samym prawie odcinku chronologicznym z wyjątkową wprost siłą występowały pogromy protestantów, procesy czarownic, „świętokradców” i „bluźnierców” lub oskarżonych o fantastyczne wprost zbrodnie religijne Żydów, jednocześnie w tym samym okresie krzewił się jak nigdy przedtem obskurantyzm i fanatyzm religijny, a również srożyła się niespokojna dotychczas nędza.

W Polsce procesy czarownic rozpowszechniły się dość późno. Wtedy, gdy na Zachodzie Europy ów ponury zabobon osiągnął swój punkt kulminacyjny, u nas wciąż jeszcze było głucho o tych sprawach. Względnie nie wiele procesów o czary, jakie spotyka się w XV lub w początkach w. XVI w Polsce, miały zupełnie odmienny charakter. Dotyczyły one po większej części względnie prostych praktyk znachorskich, które nie wspólnie nie miały z domniemanym kultem satanicznym.

Dopiero w szesnastym stuleciu spotkać już można na ziemiach polskich nowy rodzaj procesów o czary, odbywających się już ściśle według niemieckich wzorów. W tego rodzaju procesach najważniejszą rolę gra osoba diabła, który przy pomocy swych domniemyanych wspólniczek-czarownic, dopuszczał się najstraszliwszych zbrodni.

Na ogół jednak przez całe to stulecie podobne sprawy zdarzały się jeszcze dość rzadko i to tylko po większych miastach Wielkopolski i Prus Królewskich. Jest to zresztą zjawisko zupełnie zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ów ponury zabobon przywędrował do nas z Niemiec. Początkowo więc szerzył się w miastach o znacznej liczbie ludności niemieckiej lub w tych, które pozostawały w stosunkach handlowych z Niemcami.

Odpowiednia atmosfera, jaka panowała w Polsce, spowodowała, że w XVII w. procesy o czary rozpowszechniły się już po innych dzielnicach. Wojny, jakie toczyły się na naszych ziemiach w drugiej połowie XVII w., doprowadziły cały kraj do ruiny, a zarazem jednak stworzyły wspaniałe warunki do wegetacji ponurego zabobonu. Zbiedzonemu, przymierającemu często głodem ludzior, o wiele łatwiej było podsunąć myśl, że wszystkie klęski, jakie na nich spadały przypisać należy „nieczystym siłom”. Dopiero jednak w pierwszym ćwierćwieczu XVIII stulecia zwyczaj palenia na stosie domniemyanych czarownic osiągnął swój punkt szczytowy. Natomiast w drugim ćwierćwieczu procesy takie stają się już trochę radsze, zanik jednak tego ponurego zjawiska zaobserwować można dopiero w trzecim ćwierćwieczu XVIII stulecia.

Niemozliwe jest dziś dokładne ustalenie liczby czarownic spalonych w Polsce. Większość materiałów źródłowych do tego rodzaju spraw zaginęła. Dlatego więc opierać się można tylko na mniej lub więcej trafnych przypuszczeniach. Otóż niezbyt pewne próby obliczeń pozwalają wyciągnąć wniosek, że na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, wchodzących w skład obecnego Państwa Polskiego, około 10.000 osób oskarżonych o czary, na mocy prawomocnych wyroków, zostało spalonych na stosie lub zmarło na torturach. Przypuszczać dalej można, że różnego rodzaju samosądów, dokonywanych najczęściej przez ludność wiejską nad domniemyanymi czarownicami, było nie mniej niż 5.000—10.000. Zestawienie to pomija zupełnie wschodnie ziemie dawnej Rzeczypospolitej, gdzie zjawisko to posiadało zupełnie odmienny charakter.

Zgodnie z przyjętymi niemieckimi wzorami sprawy o czary podlegały kompetencji sądów miejskich. Co prawda spór kompetencyjny nigdy nie został właściwie rozstrzygnięty. Konstytucja sejmowa z r. 1543 definitywnie nakazywała oddawanie spraw o czary sądom kościelnym. Obawa jednak, by kościół katolicki nie zechciał tego wykorzystać jako broni przeciwko reformacji, zdecydowała, że mimo wszystko ustalili się zwyczaj, że właśnie sąd miejski (w wyjątkowych wypadkach jakiś inny sąd świecki) jest kompetentny do rozpatrywania tego rodzaju spraw. Mimo pewnych drobnych oporów ze strony władz kościelnych, wysuwanych jeszcze w XVII czy nawet w XVIII wieku, duchowieństwo na ogół pogodziło się z takim stanem rzeczy i nawet sprawy o czary z dóbr kościelnych lub klasztornych kierowane były do sądów miejskich.

Można tu zresztą dodać, że w mniemaniu ludzi tamtych czasów, właśnie sąd miejski dysponujący „mistrzem sprawiedliwości” czyli po prostu katem, był czynnikiem najbardziej odpowiedzialnym do zbadania tego rodzaju spraw. Zgodnie bowiem z zasadami niemieckiego prawa miejskiego do wydania wyroku konieczne było przyznanie się oskarżonego do zarzucanych mu przestępstw. Nie odgrywało natomiast większej roli to, czy przyznanie się do winy nastąpiło dobrowolnie, czy też pod wpływem tortur.

Tortury stosowane w polskich sądach miejskich, nie były tak wyrafinowane jak np. w niemieckich; jednak rozporządzały środkami najzupełniej wystarczającymi dla złamania najbardziej wytrzymałego na ból człowieka. To może zresztą wytłumaczyć, dlaczego zeznania czarownic z całej Polski są na ogół tak bardzo do siebie podobne. Po prostu sędziowie posiadali pewien schemat pytań, na które zresztą sami podsuwali odpowiedź. Torturowana w nieludzki sposób ofiara ponurego zabobonu pod wpływem bólu gotowa była się przyznać do najstraszliwszych zbrodni.



Zielarka rozmawiająca z profesorami wydziału medycznego. Drzeworyt z wieku XVI

Jeśli kto pod zarzutem „czarostwa” dostał się na tortury, był zgubiony. Zarówno sam „mistrz sprawiedliwości”, jak i jego pomocnicy wychodzili po prostu z siebie, by złamać opór domniemyanego wspólnika czy też wspólniczki szatana. Wtedy jednak gdy mimo kilkakrotnych tortur oskarżona uparcie odmawiała przyznania się do zarzucanych jej zbrodni, dla sądu było to dowodem diabelskich czarów, dzięki którym nie czuła ona żadnego bólu. Nic więc dziwnego, że los osoby, która pod zarzutem czarów dostała się w ręce kata, z góry już był przesądzony.

W życiu polskiej wsi i małego miasteczka w XVII i XVIII wieku procesy czarownic odgrywały olbrzymią rolę. Władomość o osądzeniu czarownicy lotem błyskawicy rozchodziła się po całej okolicy. Na miejsce stracenia wspólniczki diabła schodziły się tłumy ludności, by wziąć udział w takim niecodziennym widowisku.

Rozfanatyzowana ludność z żywą radością reagowała na to, że oto jeszcze jedna pomocnica szatana, która sprowadzała nieurodzaj lub zarazę, zginęła w płomieniach. Wyrok, uwalniający domniemyaną czarownicę, napotykał się z ogólnym niezadowolaniem, czasami nawet dochodziło na tym tle do prawdziwych rozruchów.

Z drugiej jednak strony wszyscy zdawali sobie sprawę, że procesy czarownic prowadzą do wielkich nadużyć, że w pewnych wypadkach stają się straszliwą bronią, dzięki której można się było pozbyć zniechęconego przeciwnika. Żeby jednak wyjaśnić te sprawy, trzeba przeprowadzić analizę pewnych typów procesów o czary zarówno w małych miasteczkach jak i na wsi.

Już prawie przed osiemdziesięcioletni laty historyk polski Józef Łukaszewicz w swych studiach regionalnych zwrócił uwagę na fakt, że najczęściej ofiarą okrutnego zabobonu padały kobiety należące do plebsu lub najuboższych elementów pańszczyźnianej wsi. Przy bliższym jednak zbadaniu tego zjawiska okazuje się, że wniosek ten nie jest zupełnie ścisły. Bezsprzecznie olbrzymia więk-

zość spalonych na stosie domniemyanych czarownic należała do plebsu, czasami jednak zdarzało się i inaczej. W przybliżeniu zresztą ustalić można kilka typów procesów czarownic, które powstawały na zupełnie odmiennym podłożu społecznym.

Najczęściej ofiarą oskarżenia padały stare żebraczki lub komornice, które zawodowo trudniły się znachorstwem lub wróżbiarstwem. Wlara w siły nadprzyrodzone była tak silna wśród ówczesnego społeczeństwa, że każda osoba zajmująca się podobnymi praktykami miała łatwe źródło zarobku. Nic więc dziwnego, że było to bardziej nęcące niż chleb żebraczy lub ciężka praca wyrobników od wschodu do zachodu słońca. Inna rzecz, że nad głową takiej znachorki wisiało stale niebezpieczeństwo posądzenia jej o czary, co najczęściej prowadziło na stos. Praktyki znachorskie odbywały się najczęściej w wielkiej tajemnicy, mimo to w małym miasteczku, liczącym kilkuset lub co najwyżej tysiąc mieszkańców, nie mogło to się długo ukrywać. Dopóki wskutek działalności znachorki nie było osób pokrzywdzonych, nie groziło jej bezpośrednio niebezpieczeństwo. Wystarczyło jednak, by pewnego dnia wybuchła zaraza na bydło czy też świnię lub krowa przestawała dawać mleko, by zarzut „czarostwa” spadł na głowę znachorki. Nieraz wreszcie oskarżycielami byli sami pacjenci, których znachorskie praktyki doprowadziły do ciężkiej choroby. Wtedy gdy do władz miejskich wniesione zostało oskarżenie na powszechnie znaną znachorkę, łatwo można było znaleźć świadków do poparcia sprawy, a nieszczęśliwa kobieta na torturach przyznawała się do wszystkiego.

Dość często „czarownicami” okazywały się prostytutki. Surowe kary, jakie przewidywało prawo miejskie dla kobiet tego zawodu, ustawiczne przepędzanie ich z jednego miejsca na drugie, spowodowało, że najczęściej prostytutki trudniły się ubocznie złodziejstwem i wszelkimi niedozwolonymi zajęciami. Nle bez tego, że były one specjalistkami w różnych czarodziejskich praktykach miłosnych lub zajmowały się spędzaniem płodu. Ogólna nienawiść, z jaką odnosiło się „moralne” społeczeństwo XVII i XVIII wieku do tego rodzaju nieszczyśliwych kobiet powodowała liczne oskarżenia o czary. W pewnych wypadkach, uwięzione pod różnymi zarzutami prostytutki, na torturach pod presją sędziów przyznawały się do czarów.

W małej społeczności miasteczka liczącego kilkuset mieszkańców istniały różne wzajemne związki rodzinne lub towarzyskie, które łączyły ze sobą większość mieszkańców, szczególnie bogatszą ich część. A tymczasem wędrowna żebraczka lub prostytutka znajdowała się na obecnym terenie, gdzie nie mogła znaleźć pomocy ani protekcji. Dlatego też oskarżenie rzucane na kobietę obcą, chwilowo tylko przebywającą na terenie danej miejscowości, było o wiele bardziej obciążające niż na osobę złączoną węzłami pokrewieństwa lub przyjaźni z miejscowymi dostojnikami miejskimi. I to może było właśnie najważniejszym powodem, że ofiarą procesów o czary padały najczęściej plebejskie marginesy ówczesnego układu społecznego.

Wtedy, gdy zarzut czarostwa uderzył w żonę lub krewną któregoś z dostojników miejskich, rodzina starała się poruszyć wszystkie sprężyny, by nie dopuścić do haniebnego dla niej procesu. Sprowadzano nawet ekspertów od spraw „czarowskich”, którzy orzekali, że osoba ta jest zupełnie wolna od ja-



Jazda czarownicy na diabła, sztych Jana Ziarnki

kiegokolwiek posądzenia o czary. Zresztą sędziowie mieli wiele wyrozumiałości dla żony lub krewnie jednego ze swych kolegów i nie dopuszczając do tortur, zwalniali ją od tego zarzutu. W pewnych wypadkach, gdy zmuszeni byli wydać wyrok skazujący, starali się go w miarę możliwości złagodzić.

Zdarzały się jednak procesy czarownic, których ofiarą padały właśnie przedstawicielek najuboższych w mieście rodzin. Pamiętać trzeba, że w takich małych miasteczkach odbywały się nieraz ciekawe walki społeczne o przewożenie w miejscowym samorządzie, istniały wreszcie wzajemne rywalizacje pomiędzy poszczególnymi rodzinami mieszczanskimi. Powszechnie wiadomo było rzeczą, że

względnie najłatwiej uderzyć było można w przeciwnika, oskarżając go o czary, szczególnie, jeśli w tym właśnie momencie odsunął się od władzy i nie posiadał zwolenników wśród sędziów. Oskarżenie wniesione przed wójta lub burmistrza o czary lub „zadanie diabła” mogło zakończyć się spaleniem na stosie oskarżonych. Była to więc broń, którą względnie łatwo było unieszkodliwić przeciwnika lub zdyskredytować jego rodzinę w oczach całego miasteczka. Nic więc dziwnego, że dość często zdarzały się procesy o czary, które były echem walki wewnętrznej, jaka toczyła się w małym miasteczku.

Na wsi procesy o czary miały trochę odmienny charakter. Władzą najwyższą był tu nie samorząd wiejski, ale pan, którego głos był decydującym w tego rodzaju sprawach. Otóż większa część wiejskich procesów czarownic dotyczyła cichej walki, jaką prowadzili poddani z dziedzicem.

Sądowa droga szukania sprawiedliwości przed uciekiem szlachty była przed chłopem zamknięta. Nawet w królewskich skargi chłopskie pociągaly za sobą straszliwe represje. Walka z bronią w ręku o swe słuszne prawa z góry skazana była na niepowodzenie. Dlatego nie może nas zdziwić fakt, że wychowany na wierze w zabobony chłop w swej walce z uciekającym go szlachcicem chwycił się czarów. Przypuszczał on, że przez „zadanie diabła” lub „zrucenie kotłuna” uwolni się od srogiemu ciemniacy.

Zresztą trzeba przypuszczać, że ów specjalny przymus denuncjacji, z jakim spotkać się można w dziejach dawnej wsi polskiej, powodował, że dwór szybko był powiadomiony o wszystkich kłopotach przeciwko niemu. Należy się domyślać, że oskarżenia takie były częściej fałszywe niż prawdziwe. Wzajemna rywalizacja doprowadzała do tego, że łatwo się można było pozbyć przeciwnika, oskarżając go o spółkę z diabłem i działanie na szkodę dworu. Z drugiej jednak strony, chociaż nie można w zupełności wierzyć wszystkim zeznaniom, wyciągniętym na torturach z niewinnych może kobiet, które mówiły o „zadaniu diabła” dziedzicowi, o chorobach i różnych nieszczyściach, naprowadzanych na jego rodzinę, to jednak trzeba pamiętać, że zabobony lud nieraz na pewno chwycił się „czarów”, by wyrzucić zemstę na okrutnym panu.

Wtedy, gdy oskarżona „pomówiona” została lub „powołana” o to, że czarami swymi szkodziła panu lub jego rodzinie było to dla niej nieodwołalnym wyrokiem śmierci. Pamiętać zresztą musimy, że sprowadzony na wieś sąd miejski, mimo pewnych pozorów samodzielnosci, zawsze starał się należycie spełniać intencje swego chlebobodcy. Wtedy, gdy czarownica „szkodząca” tylko innym chłopom mogła liczyć na pewną pobłażliwość ze strony dziedzica a zarazem i sądu to ta, którą posądzano o rzucanie uroków lub „zadanie diabła panu”, ginęła na stosie. Zresztą ze strony szlachy dochodziło na tym tle do wielkich nadużyć i nie jeden niewygodny dla dworu poddany w ten sposób zakończył życie.

Inny typ procesów czarownic, bardzo często spotykany na dawnej wsi polskiej, łączył się z walką klasową, jaka toczyła się wewnątrz wsi, walką między wyzyskiwanymi biednymi chłopami a nielichną warstwą wioskowych bogaczy. Trzymając w swych rękach samorząd, a więc mając możność wpływania na wymiar sprawiedliwości, „bogacze” niejednokrotnie używali groźby oskarżenia o czary, jako środka do utrzymania całej wsi w postuszeństwie. Dość często wójt, sołtys lub nawet karczmarz czy młynarz groził wzburzonym przeciw niemu chłopom procesem o czary. Nieraz też w ten sposób pozbywano się ze wsi najgroźniejszego przeciwnika.

Jak widać więc w XVII i XVIII w. procesy czarownic były groźną bronią, którą aż nadto często używano do wzajemnych porachunków rozgrywających się na tle różnych sporów i konfliktów klasowych.

W OSTATNIM 33—34 (212—213) NUMERZE TYG. „WIEŚ” Z DNIA 14—21 SIERPNI 1949 r.

Roger Garandy: Watykan — mocarstwo kapitalistyczne; Cyprian Norwid: Fraszka; Jan Kochanowski: O kaznodziej; Wacław Potocki: Sukcesja księża; Kajetan Węglerski: Kanon; Szandor Petöfi: Wajda Hunyadi, „Węgierski Szlachcic”; Rysunki: Hanny Orzechowskiej i Władysława Strzemińskiego: Ponad milion dzieci na wczasach; Edmund Niziuski: „Pierwsze pokolenie socjalistyczne”; Lech Budrecki i Witold Jedlicki: Pięćdziesiąt lat Filmu Polskiego; Roman Zimand: Buchalteria kapitalizmu „kwitnacego”; Honoré Balzac: Kontrakt ślubny; Pierre Daux: Balzak dzisiaj; Fryderyk Engels: O Balzaku; Anna Kamińska: „Rewolucja oświaty” w Galicji; Ludwik Łakomy: Rozmowy na Wzdole; Zofia Rzepińska: Jean Jaurès; Jean Jaurès: Z „Pism politycznych”; M. Kościńska: Pod płóciennym kapeluszem; Tadeusz Różewicz: Wyznanie; Poetom dwudziestolecia; Jerzy Müller: Głos, Uprawa; Tadeusz Nowak: Młodzież w kręgu gminy; Marian Minias: Dojrzałość do zawodu i środowiska; Stanisław Orzeł: Z sanatorium na kurs społeczny; Stanisław Marczak - Oborski: Dwie komedie; Saturnin Dąbrowski: Zapomniana powieść o wsi; Wiesław Wiejski: Czytelnictwo w Jarosławcu; Fakty i zdania; 31 ilustracji; 16 stron.

Bogusław Szykuła

DO ŚWIADOMOŚCI KLASOWEJ

OD REDAKCJI:

Drukujemy w całości i bez zmian, mimo licznych usterek stylistycznych, życiorys młodego działacza ZMP ze wsi zamojskiej. W pierwszej części — w opisie bytowania rodzinnego i stosunków wiejskich — przypomina on zupełnie analogiczne życiorysy młodzieży, zebrane przez J. Chałasińskiego w „Młodym pokoleniu chłopów”. Druga jednak część życiorysu Sz. B. pokazuje już wyraźnie nową sytuację młodego pokolenia wiejskiego tej jego części, dla której bynajmniej nie jest ona łatwiejsza, ale znajduje oparcie ustrojowe i potwierdzenie, ideologiczne w całym kierunku życia Polski Ludowej. Sz. B. rysuje nowy dla młodzieży chłopskiej przełom ideologiczny, osiąganie świadomości klasowej poprzez krytykę stanu ustrojowego wsi, pokazuje prawdziwy heroizm walki o utrzymanie światopoglądu mimo materialnych trudności. Ten surowy życiorys młodego działacza i korespondenta pism młodzieżowych powińien być ciekawy nie tylko dla współczesnego pisarza, który znajdzie tu zarys prawdziwych nowych konfliktów ideologicznych, ale stanowi już zapowiedź i konieczność powstania nowego, zrewidowanego obrazu socjologicznego młodego pokolenia chłopów.

ŻYCIORYS WIEJSKIEGO ZMP-OWCA

Urodziłem się 12.4. 1932 roku w Łabuńkach, gm. Łabunie, pow. Zamość, woj. lubelskie z ojca Stanisława i matki Anny z Juszczaków. Matka, tak jak i ojciec pochodzą z rodziny średniaków.

Rodzice moi posiadający wówczas około 5 ha ziemi (łącznie z łąką i lasem) obciążeni trojgiem dzieci (brat z 1924 roku i siostra z 1922 roku) nie mogli utrzymać gospodarstwa w takim stanie, jak być powinno, zwłaszcza, że obciążali nas jeszcze niemożliwe podatki kładzione na chłopów.

W dwa lata później ojciec zachorował na gruźlicę płuc. Matka kładła ostatnie grosze by ojca wyrwać z tej straszliwej choroby, by się chociaż zaleczył. Jakże trudno było powiązać uczenie dzieci w szkole, pracę na roli, podatki i inne obowiązki.

Świat postępował naprzód. Ojciec bardziej zaniemógł, w powiecie był smutek z powodu przegranych rozruchów — strajków chłopów, w których spora ilość zginęła (1936 r.) z rąk pilsudczykowskiej policji. W rok później tj. w marcu 1937 r. zmarł ojciec, pozostawiając matkę i nas troje na łaskę i niełaskę losu. Z pomocą krewnych i niektórych sąsiadów, pchałmy błądę z roku na rok. Zylśmy odizolowani od świata. Siostra i brat nie należeli do żadnej organizacji, nie z przekonania, lecz po prostu z braku entuzjazmu młodzieżowego, z braku uświadomienia politycznego. Ja również nie przejawiałem żadnych pociągów w tym kierunku (zresztą byłem

małym konusem). Wiedziałem tylko tyle, że jestem chłopem cichej wsi, że w przyszłości będę krajął plugiem ziemię, jak obecnie mój brat.

Czasami zastanawiał mnie niektóre sprawy, jak np. zwalczanie i hamowanie rozwoju kół ZMW „Wici”. Zadawałem sobie i innym pytanie, dlaczego młodzież zdążająca na zlot do Zamościa policja granatowa biła pałkami i oblewała wodą z sikawek strażackich. Na to pytanie jednak otoczenie nie dało mi odpowiedzi. Dlaczego? Dlatego, że pewna część mieszkańców Łabuniek, na czele z bogaczem Zakrzewskim, trzymała stale władzę w swoich rękach, nie dopuszczając wsi do postępu, do upominania się o lepszy byt.

Zbliżał się rok 1939, rok, w którym dopiero otworzy mi się cośkolwiek oczy i zobaczę co znaczy wojna i ustrój. Po klęsce wrześniowej nastąpiły prześladowania. Z początku nie rozumiałem dlaczego one są i dlaczego się im nikt nie przeciwstawia. W roku 1941 chodziłem już do 3 klasy szkoły powszechnej i zacząłem czytać książki. Szczególnie lubiłem książki Prusa i Sienkiewicza, a później May. Brat tymczasem pod wpływem b. oficerów przedwrześniowych wstąpił w szeregi. Armii Krajowej wraz z mężem siostry.

U bogaczy wiejskich nie zaszły specjalne zmiany. Cechowało ich chyba tylko to, że jak przed wojną tak i teraz zajmowali biurka w gminie i współpracowali przy kieliszku z Niemcami.

Nadszedł rok 1942. Niemcy potęgując terror w Zamojszczyźnie, poczęli kolejno wysiedlać wsie, wywożąc ludność do Rzeszy, obozów koncentracyjnych lub w okolice Warszawy. W końcu jesieni, dzięki bratu i szwagrowi otrzymaliśmy wiadomość, że nasza wieś tej i tej nocy ma być wysiedlana. Daliśmy więc znać całej ludności, która gorączkowo zaczęła się szykować do opuszczenia wsi. Jedynie ci, którzy pili z Niemcami, zostali z tzw. „żelaznymi kartami” w kieszeni. Nasza skąpa rodzina wyjechała do krewnych w Międzyzdrojach (pow. Hrubieszów), gdzie przez tydzień „zbijaliśmy bakę”. Po upływie wspomnianego tygodnia dowiedzieliśmy się, że do naszej wsi przyjechali nasiedleńcy z Besarabii i Jugosławii oraz, że część wsi nie została objęta w ich posiadanie. Równocześnie zwierchnik nasiedleńców zapowiedział, że Polacy znajdujący się w okolicy mogą przyjeżdżać na pozostałe puste gospodarstwa z zastrzeżeniem, że nie będą mieli żadnej użytkowności własności, a będą pracowali bezpłatnie tj. tylko za wyżywienie (oczywiście było ono pod psem). Nie mając innej drogi do wyjścia postanowiliśmy wrócić wraz ze szwagrem, pozostawiając brata na dywersji. Przydzielono nas na tymczasowo do pracy u Besaraba Engela Hrystiana, Matka, siostra i szwagier pracowali na roli, a ja pasłem 7 krów. Nie chodziłem do szkoły, lecz czytałem bardzo dużo książek i pragnąłem się uczyć za wszelką cenę. Z wiosną 1943 roku matka przerwała pracę z powodu choroby płucnej.

W bardzo ciężkim stanie materialnym, bez środków do leczenia i racjonalnego żywienia żyła matka. W dwa miesiące później nowe zmartwienie; siostra zachorowała też na płucę. Nasz „chlebodawca” oburzył się bar-



Z filmu radzieckiego „Moje uniwersytety”, przedstawiającego młodzież Maksyma Gorkija

dzo, odgryzając, że wywiezie tę schorowaną rodzinę do łagrów. Wobec tego siostra musiała iść do pracy, chociaż bardzo często padała przy niej zemdlona.

Mniej więcej w tym samym czasie na terenie Zamojszczyzny rozpoczęła straszliwą propagandę mikołajczykowski słudzy, wstrzykując w nieświadomego robotnika rolnego jad wściekłości przeciwko Armii ZSRR, przeciwko — jak mówili — komunizm. Wraz ze zbliżającym się frontem, wraz z odgósem dział, ludność opuszczała ręce niezdeterminowanie. Z jednej strony głosy wolności, a z drugiej zupełnie przeciwnie temu podszept.

Tu właśnie znajduje się cała tragedia Łabuniek, tragedia dotychczas nienaprawiona. Dlaczego? — zapytacie.

Gdy Armia Czerwona wraz z odrodzonym Wojskiem Polskim wkraczała na teren Zamojszczyzny, przywódcy A. K. nie wtrącali się do entuzjazmu ludności dla wyzwoleniów. Czekali. Dopiero, gdy wojska głównej armii przeszły, rozpoczęli na nowo nagonkę. Na płotach wsi bardzo często można było czytać obwieszczenia, orzekające jaki los przyjdzie na PPR-owców, PPS-owców np.: „wcześniej czy później musimy oddzielić plewy od pszenicy”.

Ponadto agitowano nie tylko na papierze, ale i bezpośrednio. Przecież w roku 1945 wiosną A. K-owcy wystąpili zbrojnie, lecz już nie jako partyzantka, ale banda rabusiów.

Przykro mi bardzo, lecz muszę powiedzieć, że ja byłem wtedy z nimi myślą. Dlaczego? W tej bandzie znajdował się mój brat cioteczny i wiele innych znajomych. Byłem z nimi nie z przekonania, lecz dlatego, że otoczenie moje patrzyło w nich jak w tęczę.

Należy tu podkreślić, że tymi awanturami zajmowali się przeważnie synowie bogatych chłopów, którym było wstyd, że swoim majątkiem zrównali się z innymi, nawet najbiedniejszymi.

Cóż mogłem zrobić ja — uczeń 6 klasy szkoły powszechnej. Dopiero gdy w roku szkolnym 1947—48 zacząłem chodzić do klasy 7, do odległego 4,5 km Zamościa, zaczęło mi się w głowie rozjaśniać. Stałem się gorącym zwolennikiem prasy i celującym uczniem historii. Pomaleńku, zacząłem odrzucać precz moje zacofane przekonania, zastępując je na razie tylko sympatią dla Polski Ludowej.

Niektóre rzeczy w terenie, zaczęły mnie zastanawiać np. dlaczego nastąpiła reforma rolna i szkolna? Dlaczego z naszej wsi chodzą obecnie do szkół średnich kilkanaście osób, gdy przed wojną kształciła się tylko jedna dziewczyna, córka bogacza itd. Gdy wiosną 1947 roku zorganizowano u nas P. R. W. i „Wici”, wprost rwałem się do pracy bądź w Przystosowaniu Rolniczo — Wojskowym, bądź też w „Wiciach”. Do „Wici” należeć nie mogłem, gdyż byłem za młody. Wobec tego bez namysłu wstąpiłem w szeregi P. R. W., ćwicząc młodzież całej wsi. Młodzież posiadała entuzjazm twórcy, lecz propaganda bezdzielnych bogaczy zrobiła swoje. Rodzicom kolegów uczęszczających na zbiórki tłumaczyli, że to to samo co „Hitler-Jugend”, że gdy będzie wojna (oczywiście na dniach) to ci pójdą pierwsi. Dzięki przekłętym propagatorom hufiec rozwiązał się i pomimo usilnej pracy komendanta gminnego Burdżego Czesława, na nowo nie powstał. Dziwne tylko było, że nikt nie agitował, by nie wstępować do „Wici”. Było tak dlatego, że przewodniczącą P. A., szła po ich palcach, nie trzymając się wcale ideologii ustroju obecnego. Uczyla śpiewać piosenki przeciwko obecnym władzom, dostojnikom i ustrojowi, układała różne kawały, jak mówiła, przydadzą się kiedyś „po zmianie” do pism humorystycznych.

Po ukończeniu prac żniwnych w roku 1947 chłopci co biedniejsi zaczęli myśleć, by zelektryfikować wieś. Robili to cicho, by się nie dowiedzieli bogacze. Na zebraniach gromadzkich zataczał ten nowy projekt coraz to szersze kręgi aż w końcu wybuchł. Bogacze zaczęli ludzi odsuwać od tego zamiaru, tłumacząc, że oczy im się popsuły, że pioruny spalią za pierwszym grzmotem domostwa, że będzie to kosztowało, 14 razy drożej niż nafta i t. p.

Nie wygrali bogacze, bo w święta Bożego Narodzenia zabłysło wesołe światło pod słomianymi strzechami, na pohybel przeciwnikom, a na szczęście biedakom. W ciągu zimy 1948 roku myślno o zradiofonizowaniu wiosek i już wiosną tegoż roku czas wolny od pracy ludność spędza przy głośnikach.

Były to pierwsze zwycięstwa i ostatnie odniesione przez mało i średniorolnych gospodarzy. Dalsze dzieje nieszczęsnej gromady są o wiele, o wiele smutniejsze.

Wielu mieszkańców widząc wysiłki państwa nad podniesieniem stopy życiowej chłopów chciało związków, zrzeszeń itp. Jednak reakcyjna klika gospodarzy uwzięła się. Poco im były związki, poco im walka o lepszy byt, gdy im i tak jest bardzo dobrze. Projektowano założenie młyna w byłym murowanym domu ludowym — bogacze odrzucili projekt, bo są we wsi wszechwładni. Pow. Zarz. Zw. Sam. Chł. przysłał aktywistów, by założyć koło, bogacze wygwizdali go. Podobnie było z założeniem Koła Gospodyń.

Lesław M. Bartelski

PROTOKÓŁ NARODZIN AGNIESZKI*)

NA WIADOMOŚĆ O NARODZINACH CÓRKI

Jaskółki niosły lot nad wodą nisko jak na burzę; topole osadzone w piachu, nad którymi niebo wzburzone jak potok ściekający ręką pośród śliskich skał; oczy wpatrzone w rzeki zmarszczoną kołyskę, po której drobnymi falami spływa lekki wiatr w zielenią tryskające brzegi.

Ten obraz prosty jak sen dziecka! Jakże wyrazić radość inaczej niż kołysanka? oto łuk srebrny jak znak z kamienia, słońce rozprysło w tysiączne piany. Płacz, ojciec szczęśliwy, i dziecię wita, podnoś rękę do czoła i oczy przesłaniaj, biały statek pełen dymu ginie w oddali, wyrzyna się wirami główny nurt koryta córka ma oczy wojenne — ze stali i wiotka będzie jak lania.

RODOWODY

Minał już czas odeszły w przeszłość, gdy ogień bardziej cenilem niż młodość i życie, gdy szukałem bliskich w zwłokach rozstrzelanych, gdy widziałem oślepłych o spalonych rękach, wybuchem granatu porażonych jak ryby, gdy jednym strzałem mordowałem obcego człowieka, gdy mordując odczuwałem radość zabijania, gdy nade mną walił się pod bombami dom, gdy zasypany, po omacku szukałem piwnicznych ścian, gdy druty kolczaste paliły mi dłonie, gdy kradnąc chleb zdradzałem towarzyszy broni, których zginięty oddech był mi ostatnim pozdrowieniem.

Trzeba było oczy wypalić i usta zagipsować, aby nie wiedzieć, aby nie wołać dziś rozpaczliwie, że bombowce arabskie kamienują w Palestynie dzieci, że wycieńczeni uchodźcy mrą wśród drzew i zwierząt w dalekiej Indonezji, szarpanej salwami artylerii, że wygnani na skałach w Grecji sadzą oliwki i winorośle, że więzieni hiszpańskie pełniejsze są niż kościoły, że w Chinach garstka ryżu znaczy więcej od honoru.

Niejednaki jest los uciemiężonych, ale ich świat pozostaje wspólny.

RADOSNY ŚWIAT AGNIESZKI

A tu nagle twój świat ukaże się mały jak brew twoja załamana zdziwieniem. Niemy dotyk rąk jak wiosną białe okwitłe jabłonie, — dalekie góry słońce poleruje miedzią, na zielonych zboczach pasterze złote rozpinają ogniska, górniczy świdrami rozbijają ziemię, aby odnaleźć serce bijące, gorące jak popiół.

Agnieszko, piękny jest świat rozbudzony przez twoje spokoju łaknące dłonie.

ZAKOŃCZENIE SZYDERCZE

I cóż zostało z poezji pokonanych wczesną miłością? Obraz świata na twych źrenicach, pierś matki czy spokój u miasta bram?

Maj, 1948

*) Z tomu „Patrol między murami”, który ukaże się niebawem nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

Celuje w pracach propagatorskich Zastępca Leon i P. Amelia. Ta ostatnia, pomimo antyludowej postawy, pomimo, że po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych rozwinęła z doskonałym dorobkiem koło ZMP, należy obecnie do ZSCh, była na ostatnim zjeździe w Warszawie, jako delegatka z powiatu. Obecnie nawet ma zostać wojtem (?) gminy.

Tymczasem ja przeżywałem wielki przełom. Przekonałem, kończąc 7-mą klasę w Zamościu, byłem już korespondentem tygodnika P.R.W. Duże ograniczenia w mej pracy stosowali brat z siostrą. Jednak z końcem roku szkolnego 1947—48, jako uczeń klasy 8 Gimn. Ogóln. wstąpiłem do „Wiści” w szkole. Jako młody, niedoświadczony członek organizacji, czułem się dziwnie nie mając prawa czynnego życia w organizacji. Wziąłem się do studiowania ruchów młodzieżowych i chłopskich. W ciągu wakacji pojechałem na kurs (I i II stopnia) szybowcowy do Miłosnej Starej k/Warszawy, organizowany w ramach P. O. „S. P.”

Rozpoczął się rok szkolny. Rozpocząłem naukę nie przestając myśleć o pracy organizacyjnej i dopiero w listopadzie stałem się oficjalnie aktywnym członkiem ZMP. Jako sekretarz szkolnego koła ZMP walczyłem z reakcjonistami na terenie szkoły. Byli to synowie chłopów — bogaczy.

W grudniu 1948 roku zacząłem pisać do „Nowej Wsi”. Zaraz po ukazaniu się moich pierwszych artykułów, zwalczających ciemnotę i fanatyzm, wyzysk i biurokrację, oburzone się w gminie zwłaszcza ci, których piętnowałem. Nieco później zacząłem pisać do „Młodej Wsi” i „Gromady”. Przyplaciłem to zerwaniem kontaktów z rodziną. Ucząc się musiałem pisać, by sobie zapewnić utrzymanie.

Było mi ciężko.

O swej biedzie nie mówiłem ani w szkole, ani nikomu. Jedynie pisałem do Koła Rodzicielskiego dwukrotnie podanie o zwolnienie mnie od wszelkich obowiązków pieniężnych, lecz prośbę moją odrzucono. Tak dociegnąłem do 1 kwietnia r. b. Wówczas właściciel domu, u którego mieszkalem oświadczył mi, abym się usunął, gdyż chce sobie na lato uporządkować pokój. Wiedząc, że nie mam gdzie zamieszkać, zaprojektowałem mi, by zamieszkać u niego w komórkę na drzewo. Nie mając innej drogi wyjścia zdecydowałem się przenieść, chociaż z wielką przykrością. Nie było tam okna, nawet szpary, która przepuszczałaby światło. Nie narzekałem. Myślałem sobie, że wszystko co robię to dla swego dobra, jeżeli nie teraz to w przyszłości. Nie martwiłem się, że mogę sobie zmarznąć zdrowie, jedynie — — — — — mi było ciężko, że w czasie deszczu kapalo.

W kilkanaście dni później mieszkanie tego samego domu ob. K. Marion (bardzo mu jestem wdzięczny) zwrócił się do mnie z propozycją bym zamieszkał u niego. Ponadto za mieszkanie nie będę płacił itp. Ucieszyłem się tym niezmiernie i zaraz tego samego dnia przenieśliśmy się do niego. Ob. K. nie uląkł się ostrzeżeń ob. P. orzekającego wobec wszystkich, że jestem „podejrzany”, niebezpieczny.

Po tych moich małych przełomach rozpocząłem generalną ofensywę na łamach prasy i w ZMP. Będąc na pierwszym zjeździe korespondentów tygodnika „Nowa Wieść” z początkiem marca br. zyskałem wiele, więc tym bardziej mogłem wydawać walkę wszelkiej niesprawiedliwości i wyzyskowi, nie obawiając się, że w walce tej upadnę.

W między czasie zdzielałem ostatnie koszuły i kamasze. Trzeba jednak było temu koniecznie zaradzić. Zwróciłem się więc o pomoc do redaktora naczelnego tygodnika „Nowa Wieść” kolegi T. Zochowskiego. W kilka tygodni później otrzymałem zaliczkę a conto moich korespondencji w wysokości 4.785 zł. Natychmiast kupiłem sobie koszulę, pantofle oraz oddałem część długów. W tym samym czasie, nie mając środków do życia, a mając olbrzymie zaległości w nauce, porzuciłem naukę. I tu trzeba podkreślić

niedbalstwo Zarządu Uczniowskiego i Koła Rodzicielskiego. Jak wspominałem wyżej, pisałem dwa podania do Koła Rodzicielskiego, które zostały załatwione odmownie. Dopiero wtedy, gdy ja już do szkoły nie chodziłem, zwrócono się do mnie z pomocą, wtedy kiedy rok szkolny dobiegał końca.

Przystąpiłem do bezpośredniej pracy w Z. M. P. Od tego czasu przebywałem i przebywam obecnie (mieszkam) w Zarządzie Powiatowym ZMP. Pracuję prawie na równi z instruktorem w terenie. Jednym słowem biorę czynny udział w pracach społecznych i politycznych.

Jednocześnie ktoś rozsiewa o mnie zniechęcające plotki. Np., że ja w najbliższych dniach mam przybyć do księdza parafii Łabunie i rozkazać mu rozebrać kościół. Dalej, że na gruncie mojej rodziny stoi kamienna figura, którą, jak mówią reakcjonści, mam zniwelować, a obraz spalić.

Mnie, wydawana przez ludzi opinia nie zwróciła od obranego celu. Pomimo, że nie mam tego co chcę, nie na wszystko mogę sobie pozwolić, trzymam się ZMP, nie obawiając się nawet kłatwy papieskiej. W początkach września pojadę na Szkołę Organizacyjną ZMP.

Bolesław Szykula

Zamość, 3 sierpnia 1949 r.

Andrzej Wasilewski

R Z E C Z L U D Z K A

1. Nowy tom prozy Adolfa Rudnickiego „Ucieczka z Jasnej Polany” (*) zawiera pięć utworów napisanych w latach 1941—48. Nie różni się on ani czasem swego powstania ani problematyką ideowo-artystyczną od tomu poprzedniego i dlatego w naszych rozważaniach często będziemy się powoływać na utwory zebrane w „Sześciu”.

Twórczość Rudnickiego dotyczyła spraw wojny i refleksu, przedłużenia tych spraw w świecie powojennym nosi wspólne znamię: sięgając po te tematy pisarz jest żarliwym poszukiwaczem tragizmu ludzkiego losu. Wylizyć tu można większość utworów; znajdując się między nimi wszystkie najwartościowsze i najbardziej artystycznie doskonałe. Odtwarzają one tragizm losu żydowskiego inteligenta, któremu „czasy pogardy” kazaly zapierać się związków z własnym narodem („Wielki Stefan Konecki”), tragizm uczciwych ludzi zachodniej emigracji oderwanych przez polityczne rozgrywki reakcji od twórczej pracy w kraju („Major Hubert z Armii Andersa”), tragizm postawy społecznej intelektualisty — wytworu najlepszych tradycji minionego okresu kultury — nieodwołalnie zdewaluowanych i nierealnych w nowej sytuacji politycznej („Ucieczka z Jasnej Polany”), czy wręcz tragizm czystych i szlachetnych uczuć ludzkich wykończonych („Czysty nurt”) lub szczerzo sponiewieranych („Wniebowstąpienie”) w „epoce pieców”.

Sytuacje, w jakie zagnały ludzkie koleje wojny, a zwłaszcza dzieje martyrologii narodu żydowskiego, tak obfitowały w momenty wielkich, historycznych, niepokonalnych dla człowieka przeciwności, że wymiary tragizmu zdawały się być szczególnie odpowiednimi dla uchwycenia prawdy o jego losie. Lecz oczywiście — prawdy tylko częściowej o losach ludzkości w ogóle. I tu twórczość Rudnickiego budzi dwa zasadnicze pytania:

pierwsze — czy pisarz upamiętniając okrucieństwa wojny ma prawo sięgać po sam kres doświadczeń ludzkich tej epoki?

drugie — czy dając obraz zbiorowych przeżyć może poprzestać na owych doświadczeniach tragicznych?

2.

Szukając odpowiedniej miary dla doświadczeń wojennych, losami swoich bohaterów kieruje Rudnicki tak, by wycisnąć z nich maksimum klęski życiowej, maksimum rozgardnia. Takie konstrukcje artystyczne są u niego, jeżeli każda z tych ludzkich przeżyć w ostatecznym rachunku świadczy o tragicznych przejściach określonych grup społecznych, jeżeli ponadto obraz rzeczywistości nie układa się w koszmarny bezsensu i irracjonalnych triumfów zła, lecz przeciwnie, mówi o celowości ludzkiego wysiłku, o racjonalnych podstawach życia. Jeżeli wydobły dzięki owemu „sięgnięciu do dna” tragizmu służą wyrażeniu jakiejś historycznej prawdy, a nie pesymistycznej deformacji świata. Rudnicki, w obrębie poszczególnych utworów, naogół nie przekracza tych granic uprawnionego tragizmu (do wychyleń poza nie jeszcze powrócimy), rzecz jednak w tym, że niejednokrotnie czytelnicy idą dalej, odczytują z jego opowiadań więcej, niż należy odczytywać. Wynika to stąd, że autor stosując aluzyjną metodę „przedstawień pośrednich” nigdy nie podaje gotowej formuły słownej rozwiązania, nie podsumowuje wyniku, lecz sugeruje go, narzuca odpowiednią grę sytuacji, doborem zdarzeń, kompozycją. Ukazuje tylko elementy i każe czytelnikowi połączyć je samodzielnie w całość, zapewniając sobie oczywiście jedno pełnoprawne rozwiązanie.

Tak np. „Wniebowstąpienie” jest historią krótkiego, wojennego małżeństwa Sebastiana

i Raisy. Pobrali się w 1941 roku, przez lata okupacji — podlegając ogólnemu losowi Żydów — zmuszeni są ukrywać się, zmieniać mieszkania, zaciemniać ślady, każdej chwili odcierając się o śmierć. Raisa, dzięki swemu nie-żydowskiemu wyglądowi, nie musi zachowywać maksymalnej ostrożności, Sebastian natomiast nie powinien pokazywać się na ulicy. W tej sytuacji cały ciężar kierowania wspólnym losem spada na Raisę, zwłaszcza, że w warunkach ustawicznej grozy, skazany na bezczynność i odciecie od świata Sebastian załamuje się, popada w obłąd; jego obłąkane czyny narażają życie nie tylko własne i Raisy, lecz i wszystkich mieszkańców domu. Opiekunów zadanie Raisy staje się ponad jej możliwości i siły, jej uczucie — już nie miłość, ale przetrwanie, przetrwanie związku pomocy — nie załamuje się jednak, „bardziej samotna niż wieźnię zanurza się w tej walce bez zwycięstwa i nagrody”. Po jakimś czasie Sebastian ginie; w powstaniu warszawskim pada też Raisa.

Wstrząsająca wymowa tego opowiadania nie jest wymową losu Sebastiana. Centralną sprawą utworu jest miłość Raisy, sponiewierana i skazana przez niszczące siły historii na bezsilność i na okrutny koniec. W tej fatalnej, beznadziejnej sytuacji dopomaga Raisy „wniebowstąpienie” przez miłość: „Nie mówcie źle o kobietach! Bardziej niż mężczyźni wiedzą one, jak wysoko miłość wiezie i modlą się i wypatrują codziennie, aby dokonała się ich wniebowstąpienie przez miłość. Wniebowstąpienie Raisy siedziało tu teraz przed nią! Człowiek poruszający się na wąskiej kładce umieszczony pomiędzy światami, oglądający widoki, których nikt prócz niego nie oglądał, istota, z którą trudniej się było porozumieć, niż z rzeką płynącą w dole... ktoś, z kogo naigrawała się natura, pomieszanie, istota bez szczerzeli dla drugiego człowieka. Wychyniętymi, oddawna pozabawionymi łez oczami Raisa przyglądała się swemu Wniebowstąpieniu”.

O opowiadaniu tym pisze R. Matuszewski w „Kulicy” (23/1949): „...główna bohaterka „Wniebowstąpienia”, na której skupia się pełna nasza sympatia, staje się siłą rzeczy... Raisa... Widzimy w niej wartości, w których zwycięstwo pragniemy wierzyć i żał nam, że autor z losem Raisy załatwia się trochę po macoszemu, każąc przy końcu triumfować zła u osobie Wołkowa (chyba Bukina? przyp. A. W.) oraz ślepemu przypadkowi”.

Otóż wydaje się, że mamy tu przykład owego „nadczytania”, o którym pisaliśmy wyżej. Śmierć Raisy od jednego z czterech postaci, które spały na Żoliborzu, nie jest przypadkowa, gdyż w następstwie beznadziejności w niej zakochany Bukin może powiedzieć: „Jakie szczęście, że życie nie składa się z samej miłości — byłoby zbyt okrutne”.

Zdanie to, zamykające cały utwór, jest tylko ostatnim akordem do losów miłości Raisy, jest tylko wymownym pokwitowaniem wystawionym „czasom nieludzkim”. To, że wypowiedział je Bukin, kanalia, milioner, który nie uratował swągra od śmierci, gdyż bał się, że będzie musiał go utrzymywać, nie wyraża przecież pesymizmu, lecz właśnie — wiarę autora w niepełny zanik pozytywnych wartości. Dlatego w śmierci Raisy nie widzimy pesymistycznej deformacji rzeczywistości, triumfu zła, lecz logikę artystyczną, owo „sięgnięcie do dna”, do którego pisarz w imię służenia historycznej prawdzie, ma słuszne prawo. Dlatego jedynym pełnoprawnym, niewyrażającym ponad sens opowiadania wnioskiem, będzie wniosek o niszczycielskim działaniu sił „epoki pieców”.

Daliśmy więc pozytywną odpowiedź na pierwsze z postawionych pytań. Nim przejdziemy do następnego — mała dygresja.

„Wniebowstąpienie” przywieść może na myśl dramat Jerzego Zawieyskiego pt. „Miłość Anny”. Z zestawienia tego wysnuć można dość pouczające i optymistyczne wnioski

o słuszności założeń artystycznych sztuki obozu lewicy.

Podobnie jak i historia Sebastiana i Raisy — akcja dramatu rozgrywa się w czasie okupacji. Dwie siostry kochają jednego mężczyznę — działacza organizacji podziemnej; starsza i posiadająca wzajemność Anna osiąga „wniebowstąpienie” przez wyrzeczenie się swojej miłości i ofiarowanie cierpienia Bogu. Dzieje się to podczas okupacji, ale jej rekwizyty są tylko zewnętrznie przyklejone do konfliktu, siostry mogłyby kochać każdego innego mężczyznę w każdym innym czasie — sens sztuki nie uległ by przez to zmianie. Ludzie, czas, miejsce są bowiem tylko pretekstem do zainscenizowania „odwiecznego” dramatu. „Wniebowstąpienie” Raisy mówi o tragicznych przejściach ludzkości — a prosię powiedzieć, jaki fragment tej wielkiej wojennej próby człowieczeństwa, jaki fragment tej znajomej i bliskiej nam wszystkim sprawy ludzkiej przekazuje ten martwy schemat literacki? Powiadacie, że przekazuje wzór trwałej i niezmiennej mocy humanizmu płynącego z religii? przepraszam, mamy prawo niedowierzać świadectwu pięknych czynów ludzkich, które dokonują się w próżni czasowej i przestrzennej. Mamy prawo podejrzewać, że humanizm tego typu jest realny w tym samym stopniu, w jakim go stać na odtworzeniu współczesnej mu rzeczywistości.

3.

Opozycja ta pozwoliła nam uwypuklić te cechy pisarstwa Rudnickiego, które sztukię jego, współbrzmiającą z historią, czynią trwałą głoszą do dzieł ludzkości. Pozostaje jednak do rozstrzygnięcia pytanie drugie. W zespoleniu obu tomów pisarza nie znalazł się ani jeden utwór przekazujący zwycięskie wybrnięcie człowieka — a przecież taka jest ostateczna prawda naszego czasu — z konfliktów wojny. Postaramy się odszukać powody takiego ujęcia sprawy. Pierwszym i niewątpliwym jest sugestia sześciomilionowej rzezi, tułaczki i nieszczęść, wszelkich klęsk społecznych i moralnych; drugi — niemniej istotny — tkwi w pewnej, utworzonej na gruncie mieszczańskich doświadczeń społecznych tradycyjnej literackiej koncepcji człowieka.

Rozwiązanie zwycięskie, pokonywanie niszczących mocy historii nie jest przecież na miarę sił bezwzględnie osamotnionej jednostki. A takim właśnie bezwzględnie samotnym, nie zanurzonym w żadnym ruchu społecznym — wywołanym jest typ człowieka stwarzanego przez Rudnickiego w konstrukcjach biograficznych. Jest zapewne w tej koncepcji samotniczego losu jednostki kontynuacja wzorów mieszczańskich literatury, której bohaterowie, stroniący od życia politycznego, niezaangażowani w żadnym zbiorowym działaniu — snuli watek swych prywatnych przeżyć. Wojna wargnęła w ów zaciszny świat i postawiła ich — bezradnych wobec nowych sytuacji. I jest wygraną pisarza, że w sytuacjach tych sfera jednostkowych, prywatnych przeżyć stała się dziedziną historii. Nieprzygotowani i samotni, niezwiązani nigdy — jak Sebastian i Daniel — z formami zbiorowej walki, niezdeterminowani nigdy — jak subtelny i wytworny Klaus Hofer — na pełny akces do partii jedynie realnego humanizmu — w obliczu śmierci, w obliczu decydujących rozstrzygnięć musieli pozostać samotni. I to jest rzeczywisty, klasowy i historyczny uwarunkowany tragizm Sebastiana, Daniela i Klause Hofera. Ta sprawa — słusznie postawiona w „Wielkim Stefanie Koneckim” i w „Ucieczce z Jasnej Polany” — nie znalazła jednak należytego rozwiązania we „Wniebowstąpieniu” czy w „Ginącym Danielu”. W obu tych utworach autor absolutyzuje konflikt tragiczny, który — jak to staraliśmy się wykazać — był prawdziwy tylko dla określonych postaw społecznych. Bo przecież nie było go — i o tym autor wie dobrze — w losach Konia i Joela Filuta, w życiu tych ludzi, którzy nie za-



Adolf Rudnicki

mknęli się w wąskim, prywatnym świecie, lecz wzięli udział w wyzwolenie walce ludzkości. Ich śmierć nie była tragiczna. I tu jest pierwsze, sygnalizowane już wyżej, zasadnicze niebezpieczeństwo dla pisarstwa Adolfa Rudnickiego: autor, wtórując wojennym klęskom ludzkości, przesuwając niekiedy ich proporcje; tragizm losu określonego klasowo, biernego człowieka, przedstawia jako wzór tragicznych przejść ogółu.

Ten absolutyzujący niekiedy charakter klęski określonej postawy życiowej pogłębia się jeszcze przez brak wzorów przeciwnych: przez nieobecność w pisarstwie Rudnickiego bohatera, który nie gubi się w mrokach okupacyjnej nocy, który walczy, nie ginie samotnie. A wreszcie — czy od tego jest pisarz, i do tego pisarz tak wrażliwy na wielkie problemy czasu — aby z dzieł ludzkości wydobywał tylko konflikty beznadziejnie przesądzone, tylko sprawy przegrane, tylko egzystencje przegrywane przez historię?

Perspektywy bohatera, który przewidywa pulapki historii; major Hubert, który wraca do kraju; Tomasz Mann osiedlający się w radzieckiej strefie okupacyjnej (wiadomo o tym znaleźć we wcześniejszych dziennikach) — pozwoliłyby autorowi „Sześciu” i „Ucieczki z Jasnej Polany” uchwycić pełniejszą prawdę historyczną. W wymiarach tragizmu nie da się zawrzeć pełnego obrazu lat wojny. Wymiary te są zupełnie nieprzydatne dla ujęcia głównych nurtów rozwojowych współczesności.

Bądźmy jednak cierpliwi w stosunku do pisarza, którego sztuka tak żarliwie towarzyszyła wojennemu człowiekowi w jego największych sprawach.

Znana mi studentka krakowskiej polonistyki, która w 1947 roku powtarzała za pewnym tygodnikiem katolickim, że spalenie 4 milionów Żydów było właściwie „rozwiązaniem problemu”, w rok później, zwracając w bibliotece tamtejszego Koła Polonistów przeczytanego „Sześciu”, zagadnięta przeze mnie o wnioski z lektury — zawstydzona się. Reakcja pannicy wyhodowanej w religiancko-endeckiej atmosferze była nieoczekiwana. Zawstydzienie jej było najlepszym — bo życiowym i doświadczalnym — dowodem wychowawczej i postępowej funkcji książki Rudnickiego. Dlatego tytuł recenzji, zapożyczony od nazwy jednego z tomów poetyckich, wydaje się być całkowicie zasłużoną formułą jego pisarstwa.

*) Adolf Rudnicki, Ucieczka z Jasnej Polany. Spółdz. Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1949 str. 190 + 1 nłb.

120 LAT TEMU W WEIMARZE

28 sierpnia 1949 mija dwieście lat od dnia urodzin Jana Wolfganga Goethego. Dorobek literacki największego poety Niemiec, zakładany latami przez pruskich i hitlerowskich nacjonalistów, dziś wchodzi w pierwotnym, prawdziwym kształcie do kultury nowych demokracji Niemiec. Wielka poezja Goethego służy znowu sprawom człowieka i sprawom ludzkiego braterstwa.

DOŚWIADCZENIE WIELKIEJ HISTORII

„Było to dla mnie wielką korzyścią, że urodziłem się w czasie, gdy na porządku dziennym stały największe wydarzenia światowe, które rozwijały się w ciągu mojego życia. Byłem świadkiem wojny siedmioletniej i usamodzielnienia się Ameryki, Rewolucji Francuskiej i całej epoki napoleońskiej aż do upadku Napoleona i następujących potem wydarzeń. Dzięki temu doszedłem do zupełnie innych wniosków i poglądów, niż to będzie możliwe dla tych, którzy teraz dopiero się narodzą i te wielkie wydarzenia będą musieli poznawać poprzez nierozumiejące ich książki”.

POEZJA I RZECZYWISTOŚĆ

„Świat jest tak wielki i tak bogaty, a życie tak różnorodne, że nigdy nie zbraknie powodów do wierszy. Muszą to być jednak wiersze okolicznościowe, to znaczy, że rzeczywistość musi być tu materialem i pobudką. Poszczególne wypadki stają się typowe i poetyczny właśnie dzięki temu, że opracował go poeta. Wszystkie moje wiersze są to wiersze okolicznościowe. Zostały one wywołane przez rzeczywistość i w niej mają podstawę i oparcie. Nie jestem dobrego mniemania o wierszach wyssanych z palca. Nie należy mówić, że rzeczywistości brak poetyckich walorów; gdyż po tym właśnie poznaje się poetę, że jest on dość bystry, by ujawnić zajmującą stronę najwykleszczonych spraw...”

Zna Pan Fürensteina, tzw. „poetę samorodnego”; napisał on wiersz o uprawie chmielu. Nie można było tego lepiej zrobić. Zadałem mu teraz pieśni rzemieślnicze, zwłaszcza pieśni tkaczy i jestem pewien, że mu się to uda, gdyż od dziecka żył wśród tych ludzi, zna owe sprawy nawylot i potrafi opanować temat”.

POSTĘP I WSTECZNICTWO W SZTUCE

„Poeta nie jest jeszcze poetą, dopóki wypowiada jedynie własne subiektywne odczucia; staje się nim dopiero wówczas, gdy umie zrozumieć i wypowiedzieć rzeczywistość. Wtedy dopiero staje się nie-wyczerpany i może być wciąż nowy;

Goethe o literaturze*)

podczas gdy subiektywista zużywa szybko ograniczone zasoby swego wnętrza i w końcu stacza się w manieryzm.

Mówi się wciąż o studiowaniu starożytności. Oznaczać to może tylko jedno: zwróć się do rzeczywistego świata i sta-

raj się go wypowiedzieć; gdyż tak właśnie czynili starożytni, by móc żyć...

Pragnę Panu wyjawic to, co w różny sposób będzie Pan miał w życiu okazję potwierdzić. We wszystkich wstecznych i rozkładających się epokach przeważa-



Jan Wolfgang Goethe w r. 1828

(portret J. K. Stieler)

subiektywizm; natomiast w epokach postępowych górują pierwiastki obiektywizmu”.

O POEZJI POLITYCZNEJ

„Jak Panu wiadomo nie jestem znowu wielkim przyjacielem tzw. poezji politycznej. Jestem w stanie przyjąć jedynie taką, jaką stworzył Béranger. Niema u niego niczego wysnutego z powietrza, żadnych zmyślonych spraw. Nigdy nie gubi się w obłokach. Przeciwnie — obiera sobie zazwyczaj przedmiot określony i to zawsze doniosły. Jego serdeczne uwielbienie dla Napoleona i pamięć wielkich czynów wojennych, dokonanych pod jego wodzą, żywione w czasie, gdy wspomnienia te były pociechą dla zgubionych Francuzów; poza tym jego nienawiść do panowania klechów i obskurantyzmu, jakim groziło wtargnięcie Jezuitów: oto sprawy, którym nie mogę odmówić aprobaty. Jego pieśni z roku na rok tworzyły miliony weselszych ludzi. Są one po prostu monetą obiegową także i w klasie pracującej. Jednocześnie wznoszą się one tak dalece ponad wulgarność, że lud, obcując z ich wdziękiem, przyzwyczajając się i czując się zmuszony myśleć lepiej i szlachetniej...”

Poza tym większości politycznych pieśni Bérangera nie można traktować po prostu jako narzędzia jednej partii; przeciwnie — sprawy, z którymi walczy, posiadają tak doniosłe ogólnonarodowe znaczenie, że poeta najczęściej słuchany jest jako wielki głos ludu”.

WYCHOWAWCY NARODU

„Wielki dramaturg, jeśli jest jednocześnie twórcą i szlachetnym w swych dziełach, może dokazać tego, że dusza jego utworów stanie się duszą ludu. Sądzę, że jest to cel godny trudu. Sztuka Corneille’a była w stanie kształtować bohaterów. Znaczyło to wiele dla Napoleona, który potrzebował narodu bohaterów; dlatego też powiedział o Corneille’u, że gdyby żył jeszcze, mianowałby go księciem. Dramaturg, który zna swoje powołanie, winien zatem nieprzerwanie się doskonalić, aby jego oddziaływanie na lud było dobroczynne i szlachetne”.

*) Fragmenty z książki J. P. Eckermanna p. t. „Rozmowy z Goethem”.

Antoni Edward Odyniec

LISTY Z WEIMARU*)

20 sierpnia 1829. Weimar

...Wczoraj, punkt o południu, elegancki powozik pani Otylii¹⁾ zatrzymał się przed naszym hotelem i w kwadrans potem wysiedliśmy z niego u ogrodowej furtki wiejskiego domu Goethego, gdzie już czekał stary sługa, który nas przeprowadził przez ogród, otworzył drzwi do salonu, wpuścił nas i odszedł. Dom niewielki o piętrze; musi być muirowany, bo biały i opleciony liściami winogrodu. Salon, gdzieśmy czekali, obszerny, umeblowany skromnie po wiejsku, z podłogą w deski, nie w taffe, malowaną czerwono. W kominku, umieszczonym czyściutko, jakby w nim nigdy ognia nie było, leżał jakiś papier rozarty na dwoje. Podniosłem jedną połowę; Adam²⁾ poznał pismo Goethego, które widział w sztabuchu pani Szymanowskiej³⁾; schowaliśmy je więc na pamięć. Jakis urywki z czegoś o fizyce. Czekaliśmy blisko kwadrans, rozmawiając półgłosem. Adam pytał, czy mi serce nie bije? W istocie było to oczekiwanie jakby jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska. On sam przypomniał, jak zazdrościł niegdyś pani Szymanowskiej, że widziała i mówiła z Goethem. Wtem usłyszeliśmy stapanie na górze. Adam zacytował z powagą wiersz Kiszki Zgierskiego: „Słychać chodzenie i górne stapanie”; a kiedyśmy się śmieli z tej osobliwej w tej chwili cytaty, otworzyły się drzwi, i wszedł — Jupiter! Gorąco mi się zrobiło. I bez przesady, jest w nim coś Jowiszowego. Wzrost wysoki, kształt kolosalny, twarz poważna, imponująca; a czoło! — w nim to właśnie jest ta Jowiszowość. Bez diadematu świeci majestatem. Włos niezbyt jeszcze biały, mocno rzadniejący nad czołem. Oczy piękne, jasne i żywe, odznaczające się jeszcze jakąś osobliwszą, światło-szarą, jakby emaliowaną ob-

wódką, która obie tęczy żreńcie naokoło otacza. Adam przyrównał ją do pierścienia Saturna. Nic podobnego nie widzieliśmy dotąd u nikogo. Ubrany był w surducie, ciemnoniebieskiego koloru, zapiętym od góry do dołu. Na szyi chustka biała, bez kołnierzyka, złotą szpilką na krzyż zapięta. Jak zabłysk słońca zza chmury, dziwnie miły, uprzejmy uśmiech rozjaśnił surowość tej fizjonomii, gdy, ledwo wszedłszy, powitał nas ukłonem i podaniem ręki, i w tej chwili przemówił: Pardon, Messieurs, que je vous ai fait attendre. Il m'est très agréable de voir les amis de M-me Szymanowska, qui m'honore aussi de son amitié...⁴⁾. Następnie, gdyśmy usiedli, zwracając się do Adama oświadczył, iż wie, że on jest na czele nowego kierunku, który literatura w Polsce, jak w całej Europie przybiera. „Wiem z doświadczenia — do dał — jak to jest rzecz trudna; jest to jak iść przeciwko wiatru”. — „My też wiemy z doświadczenia waszej ekscelencji — odpowiedział Adam — jak wielkie genjusze w przechodzie wiatr ten zawracają za sobą”. Goethe skinął lekko czołem, jakby na znak, że rozumie komplement, i mówiąc dalej, załował, że bardzo mało wie o literaturze polskiej i że nie umie żadnego słowiańskiego języka. Mais l'homme a tant à faire dans cette vie⁵⁾. — Dodał wszakże, że już z dzienników wiedział o Adamie i zna niektóre wyjątki z nowego jego poematu („Wallenroda”), które mu pani S. raczyła przysłać w tłumaczeniu niemieckim (panny Karoliny Jaenisch, przyjaciółki Adama w Moskwie) lub które potem czytał w „Leipziger Jahrbücher”⁶⁾. Stamtąd też, jak oświadczył zwróciwszy się ku mnie, wiedział o wydaniem przeze mnie almanachu (Melitel), zawierającym utwory wszystkich żyjących poetów polskich i czytał tamże tłumaczenie mojej „Branki Litwi-
na”, chwalać żywiość akcji i stylu: autant

que je puis en juger par la traduction⁷⁾. Zaczemwieniłem się strasznie — czy ze skromności, czy z radości, sam nie wiem, ale dość że z żywego wzruszenia. Adam tymczasem dorzucił słów parę o moich tłumaczeniach z Bürgera. W spojrzeniu Goethego, które wzniosłszy oczy spotkałem, zdawało mi się dostrzec wyraz uprzejmej dobroci. Kiedy zaś Adam, na żądanie jego, opowiadał mu dziwnie treściwie i jasno cały przebieg literatury polskiej, od najdawniejszych do najnowszych czasów, łącząc ją i zestawiając z epokami historycznymi: w oczach Goethego, wlepionych w niego, widać było nie tylko głęboką uwagę, ale i ciekawe zajęcie, jakie w nim to opowiadanie wzbudzało. Ruch palców ręki, na kolanie wspartej, zdał się także tego dowodzić. Notabene, zapomniałem powiedzieć, że przy początku tej rozmowy Goethe zaczął był mówić po niemiecku; ale skoro mu Adam, także po niemiecku powiedział, że, jakkolwiek posiada ten język, nie śmiałyby jednak mówić nim w obecności jego — wrócił zaraz do francuszczyzny. W dalszym ciągu rozmowy, Goethe twierdził, że przy coraz wyraźniejszym dążeniu wszędzie do prawdy ogólnej, poezja i literatura w ogólności stawać się musi i będzie coraz bardziej powszechną; przystał jednak na zdanie Adama, że nigdy cech odrębnych, narodowych nie straci. Stąd przyszła mowa o pieśniach ludowych, i Goethe z żywym zainteresowaniem rozpytywał się i słuchał, co mu Adam, a w części i ja także, mówiliśmy o romantyzmie i różnicy w charakterze i tonie prowincjonalnych pieśni naszych; i sam to potem przy obiedzie przed drugimi powtarzał. Na tym był koniec rozmowy literackiej...

Tę parafrazę wiersza Trembeckiego dobrałem dziś na dzieńdobry Adama, gdy się już sam poruszył i ocknął. A było to jeszcze przy świetle:

Gońca złotego słońca, różanej jutrenki, pogodnie w okna nasze świecącej, a o której jedna z najlepszych festynowych piosnek dzisiejszych w ten sposób z wdzięcznością wspomina:

Diese schöne Morgenröthe
Hat einst unsern — ja, unsern Goethe
An des Tages Licht gebracht...⁸⁾

Było już po pół do pierwszej, gdyśmy stanęli u progu Goethego, spotkawszy mnóstwo wracających po drodze, którzy już swoje powinszowania złożyli. — Przez drzwi sieni, otwarte naosć, blask słońca padał wprost na wyraz Salve, wyłożony mozaiką w podłodze. Adam wziął to za dobry prognostyk uprzejmych usposobień gospodarza. Jakoż skoro nas ujrzał wchodzących, z pośrodku koła mężczyzn, którym był otoczony, postąpił ku nam, podał rękę i na króciutkie słowa życzeń odpowiedział: Je vous remercie, Messieurs, je vous remercie sincerement⁹⁾. Potem wnieśliśmy się w tłum gości pięci oboj, ruszających się i napelniających salon w apartamentcie samego Goethego. Na stoliku pod zwierciadłem leżały rozłożone różne roboty damskie i spory stos powinszowań piśmiennych, wierszy i listów, które dziś solenizant odebrał. Ale głównym przedmiotem ciekawości i rozmów był list króla-poety, to jest króla bawarskiego Ludwika, który koleją z rąk do rąk, zwłaszcza damskich, przebiegał, i który mi dopiero pani Teresa łaskawie do przeczytania podała. Zaczyna się od słów: „Panie Ministrze!”, wspomina o pamiętnej dla piszącego chwili, gdy sam przed dwoma laty dom Goethego odwiedził; życzy mu, aby stu lat do-czekał i prosi o przyjęcie na wiazanie złączającej się kopii nowo odkrytego starożytno-

*) Fragmenty „Listów z podróży” A. E. Odyniec.

Weimar, 28 sierpnia 1829 r.
Otóż i dzień nad wszystkie uroczystszy
Wstawaj: ku czei Goethego lat osiem-
dziesiątki!



Mieszczańska krytyka feudalizmu z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ucieleśniony chłop dźwiga na swoich barkach księdza i szlachcica. Karykatura z r. 1879.

go posagu, mającego wyobrazić jednego z synów Nioby. Kończy prośbą o wskazanie domu, gdzie Goethe mieszkał kiedyś, bawiąc zamlodu w Rzymie, dokąd i król się wybiera...

Posag, o którym mowa, uwieńczone girlandą z kwiatów, umieszczony był na pięknej podstawie w przyległej sali biustów, wprost naprzeciw otwartych drzwi od salonu, aby go stamtąd wszyscy widzieć mogli. Nikt jednak nie poprzestał na tym, i wszyscy go koleją oglądali z bliska. Davida¹⁰), a i nas przy nim, sam Goethe zaprowadził ku niemu, umieszczając nad harmonijną pięknością szczegółów i całości. Potem zaś widziałem zdaleka, jak sam znowu przystąpił ku niemu, przypartywał mu się z uwagą, ruszając przytem ręką i palcami, jakby w myśli z kims rozmawiał. W ogólności dziś w nim więcej bez porównania niż wczoraj widać było ożywienia i uczucia; i kto wie, czy ten martwy posąg bądź jako dzieło sztuki, bądź jako dar z ręki królewskiej, nie więcej go niżli żywi goście ożywił...

Weimar, 31 sierpnia 1829 r., o północy.
...Rozstaliśmy się już ze wszystkimi — na zawsze, i skończywszy rachunek z oberżą, jak daj Boże, aby kiedyś przed śmiercią załatwić go podobnie z sumieniem; ale siedzimy w niej jeszcze do jutra, czekając na dźwięk trąby głosu piskliwego, to jest nie archańskiego, ale pocztowej, konduktora dyżurnego, która ma nas przed ósmą powołać w nowe, nieznajome sfery... Nebazgrawszy zaś tyle o pobycie tutaj, czuję, że muszę przedsięwziąć i finał, tak przynajmniej, abyś go już sam sobie mógł w myśli swojej dopiewać.

Finał ten składa się z dwóch części: z pożegnania obiadu u państwa Nogel i z pożegnania wieczoru u państwa Goethych...

Na wieczorze u pani Otylii, Papa Goethe przyszedł po ósmej i bawił około dwóch godzin. Przez cały ten czas rozmawiał najwięcej z Adamem, ale i ja miałem także mój udział, i to zawsze w tym samym tonie, t. j. bardzo łaskawym i nawpół żartobliwym jak zwykle. Raczyl nawet zaręczyć za mnie, mówiąc przy mnie do pani Teresy, że nie tak łatwo zapomnę Weimaru. Skorzystałem z tej sposobności, ażeby patetycznie wypowiedzieć toż samo, stosując, ma się rozumieć, do niego; a ośmielony łagodnym jego spojrzeniem, odważyłem się przełożyć mu sam prośbę, którą już przedtem Adam porucił być pośrednictwem pani Otylii, to jest, prosić go o własnoręczny podpis jego imienia i o dwa zużyte pióra. Uśmiechnął się i skinął czołem; a stojący tuż obok Adam dodał: iż będzie to najdroższą dla nas pamiątką na całe życie. Nowy uśmiech i nowe przyzwalające skinienie; poczem zaraz o czym innym zagadał. Kiedy zaś, już przy pożegnaniu, raz ostatni podał mi rękę, ująłem ją ze szczególnym wzruszeniem, i pocałowałem niżej łokcia, prosilem go o błogosławieństwo. Nie musiało go to obrazić; bo ujął mnie za oba ramiona i nawzajem pocałował w czoło, i tymże samym sposobem pożegnał następnie Adama, który go także pocałował w ramię. Pani Otylia powiada, że to jest osobliwy dowód łaski, i nie pamięta, aby ją komu z obcych kiedykolwiek okazał. Odchodząc wziął świecę ze stołu, i stanawszy już we drzwiach, odwrócił się raz jeszcze, i jakby od ust ręką ku nam skinął. Drzwi się zamknęły — i pewno już go nigdy nie ujrzemy więcej. — W dziesięć minut, wnuk jego starszy przyniósł nam dwie złotobrzęde kartki, jak do sztambucha, z napisanym już dawniej, jak widać, czterowierszem na każdej, charakterem niemieckim, z podpisem: Goethe, na których data tylko dzisiejsza świeżo dopisana była; oraz dwa pióra, odarte z pierza, i starannie, w kształcie iglicy, cieniście końcem w rozszerepiony środek włożone. Czterowiersz na kartce mojej jest taki: (następuje tekst niemiecki), a co przez przybliżenie, na przedce, takby się może dało naśladować po polsku:

Chcesz dojść celu? — jedna rada:
Zawsze naprzód idź a idź!
Z drogi pierzchnie ci zawada,
Ciemność cię nie zdąży śmieci!

1) Synowa Goethego; 2) Mickiewicz; 3) Maria Szymanowska, słynna pianistka, przyjaciółka Mickiewicza i Goethego; 4) Przepraszam panów, że pozwoliłem na siebie czekać. Bardzo mi przyjemnie widzieć przyjaciół p. Szymanowskiej, która mnie również do roboty w tym życiu; 5) „Roczniki lipskie” (czasopismo); 6) O ile mogę o tym sądzić na podstawie przekładu; 7) Ta piękna zorza poranna przywiodła niegdyś na świat Goethego; 8) Dziękuję wam panowie, dziękuję szczerze; 9) Słynny rzeźbiarz francuski, Wielki.

Między buntem a ugodą

STRAZONE ZŁUDZENIA

„Cierpienia młodego Werthera”, którego fragment drukujemy poniżej, młodzieńcze dzieło Goethego, przyjęte jedynie jako historia nieśczęsnej, zakończona samobójstwem miłości, ukazująca położenie społeczne mieszczaństwa niemieckiego, które nie ma siły podnieść buntu przeciw swemu upodleniu klasowemu.

Werther, wykształcony i ambitny mieszczanin, traci nadzieję wybić się i zdobyć wyższą pozycję życiową. Upokorzenia, które spotykają go w służbie konsularnej ze strony prowincjonalnej arystokracji, sprawiają, że rezygnuje z walki o karierę życiową.

15 marca.
Miałem przykrość, która mnie stała wygoi. Zgrzytam zębami! Do diabła! Nie da się to naprawić, a wy sami przecie jesteście winni, wy, którzyście pobudzali mnie i naganiali i dręczyli, by zająć stanowisko, które nie było po mojej myśli. Teraz mamy, ja i wy! A żebyś znów nie powiedział, że moje przesadne wyobrażenia popsuli wszystko, więc masz tu, drogi panie, opowieść, krótką i zwięzłą, jakby to opisał kronikarz.

Hrabia von C... kocha mnie, wyróżnia mnie, to rzecz znana; mówiłem ci o tym już — starczy. Otóż byłem wczoraj u niego na obiedzie, właśnie w dzień, gdy zbiera się u niego wieczorem wytworne towarzystwo panów i pań, o którym nigdy nie myślałem, ani mi na myśl nie przyszło, że my, podwładni, do niego nie należymy. Dobrze. Wieczorem po obiedzie u hrabiego przechadzamy się w wielkiej sali tam i sam; rozmawiam z nim, z pułkownikiem B..., który przyszedł, i nadchodzi go dzina zebrania. Nie myślę, Bóg świadkiem, o niczym. Wtem wchodzi wielce dostojna pani von T... z swym panem małżonkiem i z swą wysoko wyległą córką, o płaskiej pierśi i w ładnym gorsecie, podnoszą en passant swe dziedziczne wysoko urodzone oczy i dziurki od nosa. Jako że mam serdeczny wstręt do tej nacji, chciałem się właśnie pożegnać i czekałem tylko, aż hrabia uwolni się od brzydkiego plotkarstwa, gdy właśnie weszła moja panna B... Ponieważ serce moje mi zawsze nieco, gdy ją widzę,



Uchodźcy niemieccy. Jeden z miedziorytów Daniela Chodowieckiego, ilustratora „Hermana i Doroty”

wiecz zostalem; stanalem za jej krzesłem i spostrzegłem dopiero po pewnym czasie, że mówi ze mną z mniejszą niż zwykle otwartością, z niejakim zakłopotaniem. To mnie uderzyło. I ona jest taka, jak tłum, pomyślałem, bierz ją diabli! Byłem dotknięty i chciałem iść; a jednak zostałem; ciekawiło mnie, by rzecz tę bliżej wyjaśnić. Tymczasem towarzystwo wzrasta. Baron F... z całą garderobą z czasów koronacyjnych Franciszka I, radca dworu R..., tu jednak in qualitate pana von R., z swą głuchą żoną, i tak dalej, nie pomijając przeładowanego J... w którego stroju resztki starofrankońszczyzny kontrastują z najnowszą zbieraniną, itd.: wszystko

to wchodzi, a ja rozmawiam z kilku znajomymi, którzy są wszyscy bardzo lakoniczni. Myślałem — i z wracalem uwagę tylko na moich B... Nie spostrzegłem, że kobiety na końcu sali szeptały sobie do ucha, że przeszło to na mężczyzn, że pani von S. rozmawiała z hrabią (wszystko to opowiadała mi później panna B...), aż wreszcie hrabia podszedł do mnie i poprowadził mnie do okna. — Zna pan, rzekł, nasze przedziwne stosunki. Towarzystwo jest niezadowolone (spostrzegam), że pana tu widzi. — Nie chciałbym za nic — Eksceleńco, przerwałem, proszę tysiącrotnie o przebaczenie; winien byłem pamiętać o tym i wiem, że pan wybaczy mi tę niestosowność. Chciałem już przedtem się pożegnać, złośliwy duch mnie zatrzymał; dodałem z uśmiechem, kłaniając się. — Hrabia uściśnął mi dłoń z uczuciem, które wszystko mówiło. Złożyłem dostojnemu towarzystwu uszanowanie, wyszedłem, siadłem do kabrioletu i pojechałem do M...

Wieczorem wracam na wieczerzę. Było jeszcze kilka osób w gospodzie; grano w kacie w kości, odrzuciwszy serwetę. Wtedy wchodzi pocziwy Adelin, zdejmując kapelusz, patrząc na mnie, przystępuje do mnie i mówi cicho: Miałeś przykrość? — Ja? pytam. — Hrabia wyprosił cię z towarzystwa. — Niech ich diabli, mówię, było mi miło, że się wydostał na świeże powietrze. — Dobrze, powiada on, że sobie nic z tego nie robisz. Tylko przykro mi. Mówią już o tym wszędzie. — Wtedy dopiero zaczęło mnie to nurtować. Wszyscy, którzy przyszedli na wieczerzę i patrzyli na ciebie, pomyślałem, patrzą na ciebie z tego powodu. To zaczęło mi psuć krew. A ponieważ dziś, gdziekolwiek przyjdę, żałuję mnie, ponieważ słyszę, że wszyscy zawistni mi triumfują i mówią: patrzcie, jak się skończyło z pyszałkami, którzy chęć się odrobina oleju w głowie i myślili, że mogą z tego powodu pomiatać wszelkimi stosunkami, i co tam jeszcze te psy szczekają, — człowiek — by nożem się pchnął! Bo niech mówią, co chcą o samościności pokazać mi tego, któryby ścierpił, by mówili o nim szuje, które mają nad nim przewagę! Jeśli gadanina ich pusta, ach, wtedy można sobie z nich nic nie robić.

24 marca.
Zażądałem dymisji u dworu i spodziewam się ją otrzymać; wybaczyć mi, że nie postarałem się wprzód o wasze na to pozwolenie. Musiałem odejść, a coście mieli do powiedzenia, by mnie namówić do pozostania, wiem wszystko, a więc — Donieś o tym mej matce w osłodzonej pigułce; nie mogę sobie sam poradzić, więc niech się nie gniewa, jeśli i jej nie pomóc nie mogę. Oczywiście musi ją to zaboląć. Widzieć, jak wyścig, który syn jej zaczął, krójąc wprost na tajnego radcę lub posła, urywa się nagle i oto wraca z konikami do stajni! Róbcie tedy, co chcecie i kombinujcie wszystkie możliwe wypadki, w jakich byłbym mógł i powinien być zostać: Jednak odchodzę...

...i filistrem

Goethe w swoich dziełach łączy się w dwojaki sposób do społeczeństwa niemieckiego swego czasu. Albo jest mu wrogi i usiłuje ze wstrętem uciec odeń, jak w „Ifigenii”, a szczególnie w czasie podróży do Włoch; buntuje się przeciw niemu jako Götze, Prometheus i Faust lub w gorzkich żartach natrąca się z niego jako Mefistofeles. Lub też przeciwnie darzy to społeczeństwo przyjaźnią, przystosowuje się do niego, jak to się dzieje w większości łagodnych Xenii i w wielu prozaicznych utworach; nawet broni je przeciw napierającym prądom historycznym, jak we wszystkich utworach, w których podejmuje temat rewolucji francuskiej. Chodzi nie tylko o to, że Goethe znalazł pewne strony niemieckiego życia wbrew innym, które były mu wrogie. O wiele częściej jest to sprawa rozmaitych sytuacji, w których się znajdował; toczyła się w nim bowiem stała walka między genialnym poetą, który brzydzi się małostką swego otoczenia, a przeziornym synem frankfurckiego rajcy czy tajnym radcą weimarskim, który się czuje zmuszony zawrzeć z nią przymierze i przywyknąć do niej. W ten sposób Goethe jest naprzemian to olbrzymem, to małostkowy; to nieugięty, drwiący, pogardliwy geniusz, to ogleśny, wstrząśnięty, ciasny filister...

Wobec dylematu, jak egzystować w sferze, którą musiał pogardzać, a z którą czuł się związany, jako z jedyną sferą, w jakiej był w stanie działać, stał Goethe nieprzerwanie i czym starszy się stawał, tym bardziej potężny poeta wojny ustępował miernemu ministrowi weimarskiemu. My zarzucamy Goethemu nie to, że nie był liberałem, ale to, że czasem mógł być także filistrem; nie to, że był dworakiem, lecz to, że w czasie, gdy Napoleon zwyciężył wielką niemiecką stajnię Augiasza, mógł on z uroczystą powagą zajmować się najdrobniejszymi sprawami i programem rozrywki najmniejszego z niemieckich dworów...

Fryderyk Engels

Jan Wolfgang Goethe

DUCH WIEKU

(z „Hermana i Doroty”)

Komuś silniej się pierś nie wzniosła błogim uczuciem,
Gdy blask słońca nadziei jutrenką zajaśniał nad światem,
Gdy chodzący posłuchy, że ludzie radzą o sobie,
O swobodzie powszechnej, o prawach i bratniej równości.
Wtedy każdy wyglądał nowego życia; te widy,
Co sobkostwa je duch narzucił krajom i ludom,
Rozpryskiwać się zdały, i wszyscy z tęskną nadzieją
Spoglądali na Zachód, ku wielkiej światu stolicy.
Czyż nazwiska tych mężów, zwiastunów wieści radośnej,
Sławą nie rozbrzmiewały na całym ziemi obszarze?
Czyż nie przybyło każdemu otuchy w sercu i wiary?
Nas, sąsiadów najbliższych, ogarnął zapał ogólny.
Rozpoczęła się wojna, ciągnęły tłumnie zza Renu
Zbrojnych Franków zastępy, lecz niosły nam przyjaźń, nie walkę.
Wznosząc drzewa wolności i dając ludom rękojmnie
Własnych rządów swobodnych. Więc wszyscy w szale uniesień
Jęli gromadzić się tłumnie około nowego sztandaru.
I tak owi przybysze podbili mężczyzn dzielnością,
Potem serca niewieście ponętą i wdziękiem rycerskim.
Lżejsze się nawet wydały ciężary wojny niszczącej,
Bo nadzieja przed nami igrała w złudnej postaci,
Wabiąc umysł i wzrok ku szlakom tym nowo-odkrytym.
Cudne były to chwile, bo w nich wydała się bliskim
I możliwym to wszystko, co szczerem jest dobra i prawdy,
Rozwijały się usta, więc starce, młodzieńce i męże
Głośno, z podniosłym uczuciem, o sprawie postępu mówili.
Ale wkrótce się niebo ściemniło. O zysk i o władzę
Walka straszliwa wybuchła; zaczęto mordować się wzajem
I sąsiadów ciemnić. Więc zdziercze tłuszcze łupili,
Wiele w wielkich rozmiarach, a mali w małych.
Każdemu szło o grabież chwilową, bo jutro nikt nie był pewien.
Ciężka to była niedola; ciemność rola z dniem każdym,
A okrzyków boleści w rozgwarze nikt nie dosłyszał.
Wtedy zaciętość ponura owładła umysły, — i wszyscy
O tym tylko myśleli, jak pomścić siebie i drugich.
I zwróciło się szczęście na naszą stronę. Przybysze
Spiesznie uchodzić musieli. O, wtedy poznaliśmy zbliża
Całą wojny okropność; bo wróg zwycięski niekiedy
Bywa jeszcze szlachetnym i względny, choćby z pozoru;
Więc oszczędza mieszkańców, gdyż codzień są mu potrzebni.
Lecz w ucieczce już nie zna hamulca; broniąc się śmierci,
Wszystko pustoszy lub grabi, i dzika go wściekłość ogarnia,
Nie ma dla niego świętości; zwierzęcej chuci jedynie
Folę daje, i krew i ryk rozpacz go cieszą.
Ale i w naszych się mężach ocknęło zemsty pragnienie;
Tłumnie za oręż chwycili i jękły dzwony na trwogę.
I zmieniły się broń spokojną narzędzia rolnicze:
Widły i kosy i cepy ociekły krwią napastników;
Nie dawano pardonu, tak wielką była zawziętość.
O, bodajem już nigdy nie ujrzał podobnej wściekłości!
Dzikie zwierzę mniej straszne, niż człowiek w ślepych obłędzie.
Niechże nikt o swobodzie nie prawi, o rządach narodu:
Ledwo znikną zapory, a wnet rozpasa się w ludziach
Wszelkie zło, co je dotąd w zarodzie prawo tłumilo.

„Herman i Dorota”, mieszczańska sielanka, przeciwstawiająca filisterski ideał patriarchalnego ładu, oportunistycznej praworządności przewrotowi rewolucyjnemu, była dobitnym przejawem reakcyjnego nurtu twórczości Goethego.

Ustami niemieckiego uchodźcy przed republikańską armią francuską, ścigającą austriackich i pruskich najeźdźców, wypowiada tu Goethe potępienie rewolucyjnego przewrotu. Zdaniem jego — złudna jest wiara w dobrodziejstwa wolności i zniesienie tyranii. Zachwianie porządku społecznego mści się anarchią i zdzieleniem narodu.

Waldeck Rochet

Drobnorolnici chłopci francuscy^{*)}

RUGOWANIE DROBNYCH GOSPODARSTW ROLNYCH PRZEZ WIELKĄ PRODUKCJĘ

Analiza faktów wykazuje, że podobnie jak w przemyśle — mimo, że w formie nieco różnej i w tempie powolniejszym — małe gospodarstwa zostają stopniowo likwidowane przez wielkie.

W ciągu 17 lat, tj. od 1929 do 1946 roku, zniknęło we Francji całkowicie 890.000 gospodarstw wielkości 1—20 ha.

Bowiem, wbrew pozorom, ubogi chłop, nawet właściciel gruntu, znajduje się w warunkach znacznie gorszych od dzierżawcy-kapitalisty.

W rolnictwie, podobnie jak w przemyśle, maszyna w coraz szerszym zakresie zastępuje pracę ręczną, co rujnuje drobnego rolnika. W małym gospodarstwie można zastosować produkcję maszynową jedynie w bardzo ograniczonym zakresie. Posiadane maszyny nie mogą być w pełni wykorzystane, toteż kosztują znacznie drożej niż w dużym gospodarstwie. Zaś bardziej skomplikowanych maszyn w ogóle zastosować nie można. W konkluzji należy stwierdzić, że w małym gospodarstwie praca jest znacznie mniej wydajna niż w dużym, poza tym większe kapitalistyczne gospodarstwa mają ułatwiony zbyty płodów rolnych i łatwiej uzyskują kredyty.

Wszystkie te przyczyny powodują likwidowanie drobnych gospodarstw przez większe.

Ponadto postępy dokonane w rolnictwie zmieniły i ciągle zmieniają stopień urodzajności gleby, szczególnie przy uprawie kapitalistycznej. Należy także wziąć pod uwagę fakt, że wielkie tereny leżące dotychczas odległe weszły obecnie pod uprawę i stały się bogatym źródłem produkcji (Stany Zjednoczone, kraje kolonialne). Fakt ten nie jest bez znaczenia dla cen rynkowych, przynajmniej w odniesieniu do niektórych produktów rolnych, kształtujących swoje ceny na podstawie plonów wyprodukowanych na terenach żyzniejszych od gruntów uprawianych przez biednych chłopów.

Na przykładach w niektórych dzielnicach Francji zboże uprawiane jest na polach nieurodzajnych, dających słabe plony, znacznie niższe od tych, jakie otrzymują rolnicy-kapitaliści na polach, nadających się lepiej pod uprawę zbóż.

W rezultacie wszystkie te przyczyny powodują, że cena płodów rolnych, dająca dzierżawcy-kapitaliście średni dochód, plus możliwość opłaty czynszu dzierżawnego, jest ceną, która właścicielowi drobnego gospodarstwa nie daje nawet ekwiwalentu pensji robotnika.

Tutaj braliśmy pod uwagę przy porównaniu z dzierżawcą-kapitalistą — drobnego chłopca, właściciela gruntu, podczas gdy chłop nie zawsze jest właścicielem ziemi, którą uprawia, często jest dzierżawcą, a przy wynajmowaniu małych gospodarstw, czynsz jest zazwyczaj wyższy niż przy dużych kapitalistycznych dzierżawach.

Bogaty dzierżawca z nadwyżki dochodów, osiąganych z pracy zatrudnionych przez niego robotników rolnych wyciąga dla siebie pewien przeciętny dochód, natomiast ubogi chłop-dzierżawca, opłaca czynsz właścicielowi ograniczającemu swoje potrzeby i rujnując się doszczętnie.

We Francji drobni dzierżawcy, podobnie jak ubodzy chłopci — właściciele małych gospodarstw rolnych — znajdują się w bardzo ciężkich warunkach materialnych.

Na przykład przy postępowaniu spadkowym ziemia kupowana jest często za pieniądze uzyskane z pożyczki. Nabywca musi wtedy opłacać procenty bankowe, odpowiadające mniej więcej czynszowi dzierżawnemu.

Prosty wniosek z tych rozważań znajdujemy w pismach Lenina, które podaje:

„Istnienie drobnego chłopstwa w ustroju kapitalistycznym tłumaczy się nie wyższością techniczną drobnej własności rolnej, lecz przez fakt, że ubodzy chłopci obniżają swoje potrzeby poniżej poziomu życia najemnych robotników i pracują znacznie więcej niż robotnicy”.

(Pełne wydanie dzieł Lenina, tom III str. 5, wyd. ros.)

Z drugiej strony — jak stwierdza Stalin, chłop rozpaczliwie, kurczowo trzyma się swojej iluzorycznej niezależności:

„Ubogi chłop przez lata całe zbiera pieniądze na kupno kawałka gruntu, gdy go nabydzie oczywiście nie chce go się wyrzec; woli znosić wszystkie wyrzeczności, wpaść w niedostatek graniczący z nędzą pierwotnego człowieka, niż wypuścić z rąk kawałek ziemi, będący podstawą jego istnienia”.

(Stalin — „Socjalistyczna przemiana wsi radzieckiej”)

Mimo to jednak widzimy, że drobne warstwy rolne rugowane są przez gospodarstwa większe.

„Podstawową tendencją kapitalizmu jest pochłanianie drobnej własności przez wielką, zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie; nie można jednak roznieść tego likwidowania tylko w sen”.

^{*)} Fragmenty artykułu drukowanego w numerze lipcowym „Cahiers du Communisme”.



się natychmiastowego wywłaszczenia. Ruina mogąca trwać lata, lub dziesiątki lat, pogorszenie warunków życia drobnych rolników — to także uważać należy za wyzwanie z własności. Pogorszenie warunków bytu objawia się nadmierną pracą, niedożywianiem drobnego rolnika, zwiększeniem zadłużenia, lichszą paszą i gorszym utrzymaniem inwentarza, słabszą uprawą i nawożeniem itd., zastojem w technicznym rozwoju itd...”

(Lenin, Dzieła, wydanie kompletne tom XVII, str. 619, wyd. ros.)

Zrujnowany chłop zwykle nie zrywa całkowicie z ziemią z przytoczonych wyżej powodów, a także i dlatego, że często z powodu bezrobocia w okresach kryzysu — jest dla niego niemożliwością zdobycie jakiegokolwiek dochodu.

Drobne rolnictwo wypierane jest stopniowo i tego nie mogą już ukryć statystyki burżuazyjne.

SPADEK CEN PŁODÓW ROLNYCH — A KRYZYS ROLNICZY

Wyjątkowe okoliczności wojenne wywołały dotkliwy brak artykułów rolniczych i spowodowały wzrost cen do niebywałych dotąd rozmiarów.

Jednakże okres ten już minął i wchodzimy obecnie we wzrastający kryzys rolniczy. Ostatni kwartał 1948 r. i początek 1949 r. zaznaczyły się gwałtownym spadkiem cen artykułów rolniczych.

W maju wskaźnik cen rolniczych na rok 1948 dał spóścynniki 15, podczas gdy dla produktów przemysłowych wyrażał się cyfrą 22.

Zresztą należy podkreślić, że ta rozbieżność pomiędzy cenami w rolnictwie i w przemyśle jest typowym objawem w epokach monopolistycznego kapitalizmu i imperializmu.

W istocie monopolie kapitalistyczne, odgrywające dziś dominującą rolę, nie zadowolają się źródłami zwiększonych dochodów z produkcji kapitalistycznej. Są tak potężne, że mogą z łatwością eksploatować drobnych, rozproszonych rolników, tak jak eksploatują robotników, choć w nieco odmiennej formie. Sprzedając swoją produkcję przemysłową po cenach monopolowych — wyższych od cen produkcji i od wartości — monopolisci ka-

pitaliści zmuszają drobnych producentów rolnych do sprzedawania swojej produkcji poniżej jej wartości. Przywłaszczanie sobie przez monopolie nadwyżki, a nawet w niektórych wypadkach samej produkcji, która jest dziełem pracy drobnych rolników — stanowi dodatkowe źródło zysków dla monopolu.

Gwałtowny spadek cen płodów rolnych przy końcu 1948 roku spowodowany był stałym obniżaniem się siły nabywczej robotnika.

Poza tą główną przyczyną, która jest jednym z podstawowych praw ustroju kapitalistycznego, istnieje jeszcze inna przyczyna spadku cen, a mianowicie strata zagranicznych rynków zbytu, które Francja posiadała przed wojną, a które są obecnie zamknięte. Z drugiej zaś strony na niższe cenę wpływa również import artykułów rolniczych z zagranicy, narzucony planem Marshalla, który jest bezpośrednim następstwem polityki podporządkowania się kapitalizmowi amerykańskiemu, stosowanej przez sfery rządzące obecnie Francją.

Spadkowi cen nie uległy jedynie artykuły, których ceny są ustalone urzędowo, są to: zboże, buraki cukrowe i rośliny oleiste.

Warto zauważyć, że są to właśnie artykuły produkowane na dużą skalę przez wielkich francuskich kapitalistów rolnych.

Wynika z tego, że niższe cenę uderza w drobnych rolników, ubogich i średnio zamożnych chłopów trudniących się hodowlą, którzy w żadnym razie nie mogą rywalizować z wysoką kulturą rolną i mechanizacją dużych gospodarstw kapitalistycznych.

Jasnym jest, że dziś już koszty produkcji niektórych artykułów żywnościowych znacznie wzrosły, zaś ceny ich spadły, nie mogą więc przynosić dochodu drobnym rolnikom, pracującym w znacznie mniej korzystnych warunkach niż wielcy przedsiębiorcy kapitalistyczni.

Rezultatem tak znacznego zmniejszenia się siły nabywczej warstwy chłopskiej jest uniemożliwienie ubogim rolnikom nabywania nawozów sztucznych, maszyn i narzędzi rolniczych itd. a co za tym idzie upadek rolnictwa francuskiego i znikanie drobnych gospodarstw rolnych na korzyść wielkich przedsiębiorstw kapitalistycznych.

Wielu drobnych rolników zmuszonych będzie porzucić wieś i udać się do miasta, gdzie powiększą szeregi bezrobotnych.

Oto jest ponura perspektywa, którą kapitalizm stawia przed ubogą warstwą chłopów. Toteż leży w ich interesie połączyć się z klasą robotniczą w walce przeciwko kapitalizmowi.

USTALANIE DYFERENCYJNYCH CEN ZBOŻA

Francuska partia komunistyczna zastanawiała się, jakie wytyczne postawić w stosunku do cen zboża na okres tegorocznych zbiorów. Wysokie ceny, które zadowolilyby drobnego producenta, wzbogacą bogaczy wiejskich, a uderzą w konsumenta, to jest — w klasę robotniczą.

Należało znaleźć inne rozwiązanie.

Partia komunistyczna proponuje:

1. Ustalić przeciętne urzędowe ceny i dopłacać do nich dodatkowo, od każdego kwintala zboża 300 franków — dostawcom, których produkcja ogólna nie przekracza 50 kwintali, 200 franków — rolnikom o ogólnej produkcji poniżej 150 kwintali.

2. Obniżyć urzędową cenę o 200 franków na kwintalu rolnikom, których ogólna produkcja przekracza 300 kwintali, oraz o 100 franków — tym, którzy produkują od 250 do 300 kwintali.

Tym sposobem powstałaby różnica 500 franków na kwintalu w cenach osiąganych przez wielkich i drobnych producentów na korzyść tych ostatnich.

Zważywszy, że wysokość czynszu dzierżawnego obliczana jest według ceny zboża, jako podstawa, brzoaby oczywiście cenę najniższą.

Statystyki wykazują, że we Francji 1.335.000 drobnych i średnich rolników otrzymywałoby najwyższe stawki za dostarczone zboże.

35.000 — ceny średnie,

20.000 — wielkich producentów otrzymywałoby ceny niższe o 100 lub 200 franków na kwintalu od normalnych cen urzędowych.

To zróżniczkowanie cen realizowałoby politykę „taniego chleba” przy jednoczesnym ulżeniu doli biednego rolnika.

We Francji na 800.000 gospodarstw rolnych jest 700.000 drobnych i średnich, w których pracują rolnicy-dzierżawcy ze swymi rodzinami na gruntach, które do nich nie należą.

Konieczne jest możliwie jak najznaczniejsze obniżenie czynszów dzierżawnych, zabezpieczenie dzierżawcom długoterminowych kontraktów dzierżawnych, uprawniających ich do przedłużania umowy.

O te dezyderaty walczy francuska partia komunistyczna.

SOCJALIZM JEDYNĄ DROGĄ RATUNKU DLA CHŁOPÓW

Oczywiście, żeby pociągnąć chłopów do walki z kapitalizmem u boku partii robotniczej, nie można ograniczać się do spraw, o których mówiliśmy powyżej. Należy wytrwale i uparcie walczyć o wszystkie prawa pracowników wiejskich, czy chodzi o zmniejszenie podatków drobnym rolnikom, polepszenie warunków bytu robotników rolnych, zadaniami młodych czy starych chłopów, czy ogólnie biorąc, o ochronę francuskiego rolnictwa, zagrożonego przez konkurencję amerykańską, organizowaną przy pomocy planu Marshalla, i innych — wypływających z niego międzynarodowych układów, prowadzących rolnictwo francuskie do ruiny, a nadto, wiedzących nas do trzeciej wojny imperialistycznej.

Wspólna akcja robotnika i chłopca może ograniczyć roszczenia kapitalistów i obszarników, nie może jednak usunąć fatalnych skutków ustroju kapitalistycznego.

Na to trzeba usunąć wyzysk, którego ofiarami są zarówno chłopci, jak i robotnicy.

Trzeba wywłaszczyć wielkich właścicieli ziemskich, wprowadzając zasadę „ZIEMIA DLA TYCH, KTÓRZY JĄ UPRAWIAJĄ”.

Trzeba, dzięki rzetelnej reformie rolnej stworzyć warunki, sprzyjające technicznemu rozwojowi rolnictwa, z którego korzystałby chłop, a nie bogacze wiejscy, stanowiący drobną grupę kapitalistów, wyzyskiwaczy i szkodników społecznych.

Nowoczesny, socjalistyczny ustrój rolny zapewni chłopom ziemię, dobrobyt, i postęp społeczny.

Maurycy Thorez, na krajowej konferencji w Montreuil, powiedział, że przed chłopami otwarte są dwie drogi:

„Jedna droga, którą wiedzie ich dotychczas burżuazja, odrywając od zjednoczenia się z klasą robotniczą, to droga kapitalizmu, wyzysku, nędzy, nieuniknionego wywłaszczenia i wojny.”

Druża droga — to sojusz z klasą robotniczą, to socjalizm, który oddaje ziemię tym, którzy na niej pracują, zwraca ziemię tym, co byli z niej wyzuci, to znaczy wsi i miastu, wydziedzicza tych, którzy wydziedziczyli innych. Droga socjalizmu wiedzie do pokoju”.

Trzymając się wskazań Marksa, Lenina i Stalina i przestrzegając linii politycznej partii komunistycznej, wzmagając pracę na wsi, przekonamy chłopów francuskich, że ratunek ich tkwi w zjednoczeniu z klasą robotniczą do walki z wyzysk-wcami dla zwycięstwa socjalizmu i pokoju.

Marian Przybylski

METEJERZY^{*)}

Monsieur La Peau nosił żwawo na swoich lekko zgarbionych barkach ciężar pięćdziesięciu wiosen, z których trzydzieści spędzonych napewno w rozpuście, wśród wyrafinowanych przyjemności. Czoło miał wysokie, zarozumiałe, a włosy, koloru soli z pieprzem, długie i starannie wylizane. Jego pergaminową twarz rzeźbiły niezliczone zmarszczki; orły równoległymi bruzdami woskowe czoło, lepiły na skroniach ślady gęsiej łap. Wąskie zasuszone wargi wykrzywiała szlachecka buta. Pod rzadkimi brwiami mieściła się para bezrzeszłych oczu, wyblakłych, podobnych do starej porcelany. Najczęściej oczy były wilgotne. Gdy rozmawiał, kurcz wykrzywiał górną wargę; przymrużał błyskawicznie oko.

Monsieur La Peau nosił luźną marynarkę, niemodną, koszulę o sztywnym kołnierzyku. Zwiedły, nędzny krawat wiązany orzeszkowym pękiem, wisiał na jego szyi jak sznurek. Spodnie nie przekraczały średnicy rury od pieca, dawno nie widziały żelazka. Portret ten byłby niedokładny, gdybyśmy nie dodali ryżowego wasa „à l'anglaise”, bambusowej laski oraz kawowego kapelusza o obszernych, wymokłych i wymiętych kresach. Tak wyglądał Monsieur La Peau, kiedy umawiając się z „kanclerzem” Grosbête zwiedzał swoje dobra. W zamku nie mieszkał; zarezerwował sobie w nim jeden pokój. Miał tam kompletny sprzęt myśliwski i otomanę. Od czasu do czasu przebierał się za żebraka, by wyruszyć na wyprawę. Zdarzało się to raz na miesiąc, kiedy mu donoszono, że ktoś sprzedaje pszenicę pokryjomu albo, że kradziono węgiel używany do napędu młockarni. Motywy więc musiały być poważne.

M. La Peau nie lubił przebywać w zamku, a kiedy do niego szedł, to zawsze w nadziei, że hrabina de Romont już nie żyje. Pragnął jak najszybciej zawiadnąć całym zamkiem, który stał mu przed oczyma w dzień i noc.

Dość tajemnicze były drogi, prowadzące do fortuny rodziny La Peau. W sąsiednich wsiach starszyskowie wspominali o dziadku dziedzica o machinacjach podczas wojny 1870 roku. Inni wspominali o Komunie Paryskiej, o konwojach ludzi do Versailles, o konwojach owiec, które szły stąd w tym samym kierunku. Hrabia de Romont lubił się bawić, pożyczając u La Peau — ojca pieniądze; zastrzeżił się w Szwajcarii. Hrabina spłaciła dług męża kosztem dwudziestu ferm. La Peau — syn czekał na śmierć tej pani. Madame de Romont zamknęła się w zamku na pierwszym piętrze, nie schodziła nigdy, powoli umierała wśród swoich wspomnień. We wsi mówili, że zwarowała, inni twierdzili, że nosiła długą, białą brodę.

M. La Peau posiadał czterysta hektarów ziemi ornej, nie licząc lasów, łąk, wrzosowisk i bagien. Nikt nie mógłby udowodnić, że La Peau z bogactw się także na „terenach marokańskich”. Zresztą był on wielką figurą; uchodził za jednego z najzamożniejszych ludzi departamentu Haute-Vienne. Czy przed wojną nie uratował kolegi od rynsztoka? Kiedy kolega miał zbankrutować, La Peau podał mu rękę, odkupił tę nieszczęsną fabrykę porcelany. Dużo mówiono na ten temat w hotelu „Globe d'Or”. Ciekawym było, że ów kolega nazwiskiem Rocher, zastrzelił się w dwa miesiące później i nie wiadomo dlaczego. Czyżby pan La Peau miał coś na sumieniu? — Skąd! — W pałastrze miasta Limoges La Peau piastował zaszczytne stanowisko sędziego. W niedzielę spacerował na esplanadzie z córką, dwudziestoletnią brunetką, za nimi podążał starszy syn z młodą żoną, oczekującą dziecka. Ten rodzinny zespół był naprawdę wzruszający; przypominał Ludwika-Filipa, króla — mieszczańską na przechadzkę z żoną.

Mając lat pięćdziesiąt, zdażył La Peau wybudować sobie willę w Cousey, piękną willę, prawdziwy klejnot architektoniczny. Przebywał w niej jak ptaszek w gnieździe. W zimie wyjeżdżał na wybrzeże lazurowe z „przyszłą żoną”, lub z „córką”. Lub też dość często zmieniał otoczenie: w tym celu a raczej, aby załatwić „pilne sprawy finansowe”, jeździł do Paryża.

Czy faktycznie zależało panu La Peau na kilku metrach muru z szarego granitu? — Mógł być, albo nie być w Landes — miał wiernego, zwinnego ogara w postaci Jana Grosbête'a. Grosbête był świętą trójką w Landes, bo kościoła i księdza nie by-



ło. Grosbête był wszędzie, jak wiatr na puszczy. Zrywał się rano, stukał laską do drzwi, budził „niedobitków”. Sprawdzał ilość i jakość mleka przewodniczył przy ładowaniu baniek na wóz ciężarowy pana Blanc. Po południu waleśał się po polach, ot tak, aby odświeżyć swój umysł. Na nikogo nie zwracał uwagi, był to święty kot w postaci człowieka.

Gdy ktoś się bronił... — „ale skąd, było tylko dwanaście wiązek drzewa a nie trzynaście, przecież tak dużo nie palimy!” — delikatnie wyciągał z kieszeni czarny notes. Ten ruch wystarczył. Grosbête wiedział dokładnie, kto chodzi do kościoła, a kto nie, chociaż do niego było pięć kilometrów. Wiedział kto pije, gdzie, z kim, za co i ile. Wiedział, kto co mówi na dziedzi. Biada temu, który by nie wysłał guwernantce hrabiny dzieci na katechizm. Trudno było by się pozbiierać temu, który by się omylił — nie oszukał — na wadze bydląt czy zboża. M. Grosbête mylił się dość często, ale zawsze bezkarnie. Wreszcie pod koniec roku było wszystko wylizane, wyważone, osądzone jak w aptece. Nie mógł się rozlać nawet jeden litr „cydru”. Za garść zniszczonej przez szczyry pszenicy płaciło się grzywnę. To co dał „metejer” nie liczyło się (na własny koszt reperował wozy, brony, cały sprzęt). Kiedy brakowało mu pieniędzy — na przykład na klucze wołów — zwracał się po „akonto” do Grosbête'a. „Kanclerz” wypisywał bon i sprawa załatwiona.

La Peau nie oszczędzał swoich wierzytelni, rzadko kiedy komuś pożyczał pieniądze, raczej wydawał bon na chleb, nawet na sól. Za to trzeba było mu się odwdzięczać zbożem po zbiorach. Rzecz pewna, że bon miał wartość gotówki i podlegał małemu procentowi — ale to drobnotka.

Przy końcu roku M. La Peau zwoływał swoich „metejerów” do tak zwanej „spowiedzi”. Pod psim okiem Grosbête'a, buchalter przeprowadzał odczytywanie długiej litanii książki „dłużników i wierzytelni”. Książka ta była duża, wielkości połowy stołu; czytano ją szybko i szybko trzeba było się podpisywać, bo drudzy czekali. Po odczytaniu „grzechów” „metejerzy” zwozili zboże. Ważono je, oceniano, dzielono, sprzedawano, a pieniądze jutro!

— Niekiedy rubryka „Dostarczono” — bo

były tylko dwie rubryki: dostarczono i sprzedano — zawierała „zgon krowy”; gdy takie nieszczęście uderzało kogoś, to czym prędzej wysprzedawał meble i szukał szczęścia gdzie indziej!

M. La Peau znał się na pijawkach. Kiedy „metejer” wychodził od „spowiedzi”, zostawało mu zaledwie kilkadziesiąt franków; a tutaj zima na karku i żyj! Dlatego też podpisywano kontrakt nie dłużej jak na rok.

Monsieur La Peau na tym nie tracił. Wkładem pracy nowych rąk, kosztem chwilowego entuzjazmu (bo każdy rwał się do pracy, gdy mu obiecano złote góry), kosztem tej pracy niewynagrodzonej, ziemia La Peau stawała się coraz żyźniejsza. Na fermie „metejerzy” gryźli suchy chleb, na obiad mieli kasztany a wieczorem popijali postną zupę.

Sąsiedzi nazywali się Moreau. Od siedmiu lat dzierżawili trzydzieści hektarów. Harowali od rana do późnej nocy, nawet w niedzielę nie mieli odpoczynku. Chodzili brudni i obdarci. W pierwszych tygodniach po przyjeździe Kosmala i Gawrona byli nadzwyczaj grzeczni. „Matka” Moreau była to wysoka i tęgą kobieta, zdrowa jak ryba. Ubierała się zawsze na czarno. Miła do przesady, lubiła gwałtownie okazywać swoją uprzejmość. W sobotę rozpalala piekarski piec, — znajdowało się w nim zawsze trochę miejsca na ciasto Kosmalowej.

Lato 1939 roku było w całej pełni. Na arenie międzynarodowej przygotowywała się wielka rzeź. Popsuły się również przyjacielskie stosunki pomiędzy panią Moreau a Kosmalową. Nie była to otwarta walka, lecz głęboka pogarda i cicha, nieuzasadniona nienawiść. Rodzina Moreau posiadała czterech synów dorosłych, którzy twierdzili, że nie będą wojować za Gdańsk. Matka przytakiwała im, jak gdyby swoim paplaniem miała uratować Europę od klęski. Dla Kosmalowej zamknęły się na zawsze drzwiczki piekarskiego pieca, wobec czego zmuszona była kupować stęchły chleb u piekarza, który przyjeżdżał dwa razy w tygodniu. Zwiększyło to znacznie jej wydatki.

Po licznych prośbach La Peau raczył

*) z franc.: jabłecznik.

rzucić im na stół dwieście franków, które stopiły się w ciągu piętnastu dni. Kosmala kombinował, jak tylko mógł. Pewnego razu wysłał żonę do Limoges, gdzie miała sprzedać pół tuzina kur. Autobus kosztował tam i z powrotem sześć franków. Kosmalowa zmierzwiła cały dzień. Zapłaciła pięć franków cła, dwa fr. za postój na targu i powróciła z piętnastoma frankami. Nazajutrz chodzili wszyscy nadąsani.

— I co ja ci poradzę? — mówił Kosmala.

— Nie kciołeś tu wyndrować? — wycedziła przez zęby jego rozjuszona żona.

— Nie kłóćta się! — przerwał Gawron — wszystko bydzie w porządku, ino sie skończom żniwa!

— I wybuchnie nom wojna! — przerwała Gawronowa. — Dosyć mom już tych katanów, co nos przezywajom boszami!*)

— Co ty tam godoś! Wojny nie bydzie, pogodzom się, obocysz!

— A czemu som takie maniewry po lesie i wszyndzie?

— Mocie racjom Gawronow! te chłopcy to ino żyć i spać! — powiedziała Kosmalowa. — To jo sie tyle namordowała, a ion bydzie mamro! Szkoda, że jo w twoje progi wesłam, szkoda że mie świen-to ziemia nosi!

— Uspokójta sie Kosmalowo, wszyscy łazimy, jak wariaty. Po żniwach bydzie lepi!

— Albo na świętego Glen-Glen! — zakończyła Gawronowa.

*) z franc.: szwab.

*) z franc.: służący.

Do zbiorów wysłał La Peau jednego „domestyka”²⁾. Był to pięćdziesięcioletni Francuz, imieniem François (Franciszek). Wielki żołnierz kolonialny i nie mniejszy leń. Budził wszystkich w domu, wrzeszcząc przez sen. Wraz z nim zjawiała się na strychu istna plaga szczyrów. Szczurze kawałki dudniły całą noc po podłodze. Wydawało się, że było ich co najmniej tysiąc, że porwą w strzępy mansardę wraz z Franciszkiem. Chłop krzyczał jakby mu wrywano zęby bez narkozy.

Podczas zbiorów całymi dniami lały ulewne deszcze. Na szczęście rozpoczęli dwa dni szybciej i udało im się zabezpieczyć trochę zboża. Wiatr rozpruwał łąny, kładł je na ziemię. Drogi zamieniły się w rzeki. Dom owionęła rozpacz i gniew. Ty-le potu włożyli w tę ziemię — a tu jeszcze kilka dni i cała praca pójdzie na marne.

Kiedy nastały ponownie słoneczne dni, na polach ugrzęzła przynajmniej jedna trzecia zboża w błocie. Ze łzami w oczach podnosili ciężkie snopki nasiąknięte wodą; ręce im drżały, kiedy dotykali wyluskanych kłosów.

Minał tydzień. Od wczesnego poranka ścielono stodołę niezliczonymi wiązkami zakurzonej pszenicy. Kurz wdierał się w nozdrza, swędziła skóra pod spoczną koszulą. Pracowali jednak w milczeniu. Na dworze piał kogut.

— Ostatnio fura, za chwile byndom tu! A wage trza wyciepnoné ston! — szeptał zziębnięty Kosmala.

Weszli do izby napić się trochę zimnej kawy. Pot spływał im z czoła, kleił powieki. Wargi ich były spragnione.

— Spieszta się, bo już jadom! A juni nie czekajom!

— Nie mota co sie mortwić! robi sie wszystko, za czym nos do wojska zacion-gnom! — odpowiedział Kosmala.

— Już jadom! — krzyknęła z progu Gawronowa.

Na podwórze wjechała młockarnia. Zapragnięte woły pieniały się od wysiłku. Za młockarnią, podobna do polowej kuchni, posuwała się lokomobila. Kołami miażdżyła na swej drodze kamienie; chłopcy popychali; René „szpilkował” woły.

Wreszcie orszak zatrzymał się przed stodołą. Woły sapaly hałaśliwie, piana im kapiała z pysków.

Worki były już przygotowane. Z komina maszyny uniósł się pierwszy dym; maszyna drgała, para syczała, piec pochłaniał żarłocznie brykiety. Warczała młockarnia. W stodołę unosił się kurz, zaciemniał blask słońca.

Kosmala zanurzył dłoń w worku, dmuchnął na ziarenka pszenicy, potem żuł ją rozkosznie, jak najlepszy chleb. W jego oczach czaił się smutek. Grosbête nie odchodził ani na krok od samego rana. Li-czył worki, zapisywał wagę, laską odga-niał kury. Znikał na chwilę, wracał po-nownie i po raz dziesiąty sprawdzał gor-liwie worki. Wtrącał się do wszystkich i do wszystkiego. Brzczał pod nosem, szu-kał czegoś, szperał w workach. Wachał ciepły zapach pszenicy, uśmiechał się, triumfował.

Anna Kamińska

Z dawnej publicystyki oświatowej

Nawet ze swojego kościelnego stanowiska redaktor pism ludowych ks. Stanisław Stojalowski widzi w analfabetyzmie wsi klęskę społeczną: „Kto nie umie czytać, ten Pa-na Boga jak należy pochwalić nie potrafi, bo się z książki nie pomodli, ani św. Ewangelię i innych pism pobożnych o Bogu i religii, o świętych i o Kościele Bożym pouczających nie przeczyta... Jakże łatwa byłaby praca duszpasterza, gdyby wszyscy parafianie jego czytać umieli! Jakże prędkiem i łatwym byłoby porozumienie się obywateli w każdej ważniejszej sprawie, gdyby wszyscy czytali i wzajemnie sobie myśli, rad i przestrogi udzielać mogli? Jak prędko podniosłoby się gospodarstwo, przemysł i handel, gdyby wszyscy nasi włościanie i małomieszczanie czytać umieli!”

Zasadnicza idea społeczna ruchu ludowego ks. Stojalowskiego w Galicji — stworzenie frontu narodowego i podstawy społecznej z drobnomieszczanstwem, w które wprowadzić zamierzano i wieś przez podniesienie przedsiębiorczości gospodarstw chłopskich — wymaga dla realizacji upamiętnienia wsi, przeniesienia jej ze stanu analfabetyzmu w kulturę piśmienną. Drobnomieszczanstwo żydowskie siedzące w Galicji jeszcze przeważnie nie po wsiach przejawiało nad chłopami polskimi tę wyższość kulturalną, że posiadało umiejętność czytania i pisania — poprzez które wcześniej niż społeczeństwo polskiej wsi wkupiło się w kapitalizm wiejski. Z drugiej strony analfabetyzm wsi polskiej utrudniał w wielkiej mierze jej udział w samorządzie krajowym, spełnianie obowiązków obywatelskich — choćby wyborczych nowoczesnego konstytucyjnego państwa.

„W kraju naszym — pisze publicysta „Pszczółki” (r. 1881) — z jednej strony szkoły są niestety nowością, mimo to z drugiej strony wszyscy, tj. lud cały został odrazu wprowadzony w tor życia publicznego i powołany nie tylko do samorządu w gminie własnej i rodzinnej wiosce, ale oraz do pełnienia najwyższych obowiązków obywatelskich nie tylko w sejmie, ale nawet i w radzie państwa. W takich stosunkach i przy takich okolicznościach, jeżeli przedwcześnieść praw obywatelskich, ludowi danych, nie ma rażąco i ze szkoda dla postępu i prac konstytucyjnych występować, szkoła obowiązuje nie tylko dbać o wykształcenie młodszego pokolenia, ale musi też usilnie starać się o wykształcenie tych, którzy powołani są do służby publicznej, do wszystkich najważniejszych czynności obywatelskich, a jednak pozabawieni są najelementarniejszego wykształcenia, pozbawieni są znajomości przynajmniej czytania i pisania” (podkr. autora).

Najniższe gminne placówki ustroju pogrążone są w ciemności. Wystarczy wspomnieć, że na 5912 wójtów w Galicji 4734 jest analfabetami podpisujących się krzyżykiem. Według cyfr podanych ze spisu ludności w 1881 r. na 5.904.488 ludności (blisko 6 milionów) czytać i pisać umie tylko 666.645 osób (6 tysięcy). Proza tym wydzieleno tu kategorię umiejących tylko czytać, a więc umiejących zapewne czytać tylko na książce do nabożeństwa. Tylko czytać umie 446.724. Armia ciemnoty w Galicji liczy więc 4.832.138 analfabetów. W miastach sprawa nie przedstawia się o wiele lepiej — we Lwowie na 100 ludzi jest 53 piśmiennych, w Krakowie — 57.

Jeśli jednak liczbę analfabetów galicyjskich rozłoży się na powiaty, otworzy się przerażający w swej prostocie obraz kultury galicyjskiej.

pow. Limanowa	— na 100 ludzi —	4 piśm.
„ Horodenka	— „ —	— 4 —
„ Kossów	— „ —	— 3 —
„ Cieszanów	— „ —	— 3 —
„ Tlumacz	— „ —	— 3 —
„ Bohoroczany	— „ —	— 3 —
„ Nadwórna	— „ —	— 3 —
„ Turka	— „ —	— 2 —
„ Lisko	— „ —	— 2 —

Powtarzamy: w powiatach Turka i Lisko na 100 mieszkańców — 2 umie czytać i pisać. Reszta jest analfabetami.

Z liczb tych, które podaje „Pszczółka” wynika, że wieś galicyjska w czasach polskiego pozytywizmu tkwi całą masą w kulturze przedpiśmienną, a więc okresu pańszczyżnianego. Od zniesienia pańszczyzny upłynęło lat 33 — jedno pokolenie, które jednak nie zakosztowało jeszcze w większości szkoły, tej nowej na wsi instytucji kultury niewiejskiej, kultury miasta. To też w okresie „nowości” — dodajmy i rzadkości — szkoły na wsi hasło oświaty dorosłych staje się naczelną ideą oświatowego ruchu reprezentowanego przez pisma ludowe. Wychodzą one z nowoczesnego stanowiska, że oświata w zasadzie nie jest obowiązkiem filantropów, ale państwowej władzy ustawodawczej — czyli sejmu. Pragną także wytworzyć w społeczeństwie i w sejmie opinię, że tak jak oświata szkolna — i oświata dorosłych winna należeć do obowiązków państwa wobec obywateli. Dlatego też gazetki ks. Stojalowskiego kołacza o subside państwowe i propagują wnioski postawione na sejm co do ustanowienia wędrownych nauczycieli czytania i pisanie oraz gospodarstwa. Zajęcie się przez sejm oświatą dorosłych winno przynieść w konsekwencji konieczną ustawę o ograniczeniu praw obywatelskich dla analfabetów. „Sejm powinien zastrzec — pisał, — że do

pełnienia obowiązków obywatelskich potrzebne jest pewne uzdolnienie, najmniej zaś umiejętność czytania i pisania”.

Zresztą hasło oświaty dorosłych obejmuje nie tylko tych, którzy w ogóle nie byli w szkole, ale także i młodzież pozaszkolną. Tak w artykule „Jak kształcić i wychowywać synów włościańskich” (1882) Melchior Ciepłucha twierdzi, że praca u ojca nie jest wystarczającą szkołą dla męskiej młodzieży wiejskiej. Charakterystyczne dla młodego pokolenia na wsi — burdy i bójki młodzieżowe mogą się zmniejszyć tylko przez oświatę — zakładanie czytelni i Kółek rolniczych.

Funkcję oświatową w stosunku do młodzieży pozaszkolnej miały spełniać także szkoły niedzielne, których celem miało być powtarzanie 6-letniej nauki w szkole ludowej i praktyczne uzupełnienie tej nauki w postaci wiadomości z dziedziny gospodarstwa wiejskiego, sadownictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa, gospodarstwa domowego, rachunków gospodarskich i stylistyki praktycznej (listy, podania do władz). W dyskusji na temat zakresu pracy szkół niedzielnych narzekano na zbyt duży program oraz na to, że jego praktyczność uwłacza charakterowi niedzielnej i przez to staje się wobec młodzieży niepedagogiczne. „Jeden z nauczycieli szkół niedzielnych” — korespondent „Pszczółki” — radzi przesunąć naukę niedzielną na wieczory powszednie ze względu właśnie na zgorzenie płynące z zajęć praktycznych w niedziele. Szkołki niedzielne tak pojęte spełniają oczywiście również funkcję oświaty dorosłych.

Propagowanie czytelnictwa na wsi jest następnym po zdobyciu umiejętności czytania i pisanie etapem oświaty dorosłych. Celowi temu służyć miały czytelnie Towarzystwa Oświaty Ludowej, które w statucie swoim zobowiązywały członków do zbierania się w niedzielę i święta na wspólne czytanie w szkole lub w domach. Do czytania podawano przede wszystkim gazetę, potem dopiero książki i to książki specjalnie dla ludu napisane.

„Czytajcie w święta, w wolne godziny, łącznie się razem — to cel jedyny — A „towarzystwu” (*), gminie, krajowi! Będziem pomocni — i Kościołowi, Wiedząc w kontusz jak i w górnicy! Ześmy „Polacy wszyscy” rolnicy”.

Tak w wierszu „Do Braci Rolników” woła Franciszek Pitulka z Pogwizdowa — jeden z chłopskich wierszokółów.

Jakie książki polecano do czytania w dni niedzielne najlepiej ilustruje spis bezpłatnych książkowych premii dla członków Towarzystwa Oświaty Ludowej i prenumeratorów gazety na rok 1880:

1. Historia Polska wierszem przez hr. Maur. Dzieduszyckiego.
2. Pamiętniki z Syberii, ks. Ciecierskiego.
3. Pielgrzymka do Rzymu — J. Nalepy.
4. Kalendarz „Wieńca” i „Pszczółki” na rok 1880.
5. Pius IX i Leon XIII — życiorysy.
6. Książka do nabożeństwa.

Historia zabarykadowa klerykałnie, kalendarz, książka do nabożeństwa i żywoty świętych w różnych wariantach (np żywoty papieży) — to katalog biblioteczki ludowej.

Także Karol Miarka w swoim memoriale do Komitetu Macierzy Polskiej radzi rozpoznać akcję wydawniczą dla ludu od książek religijnych, ponieważ na takie tylko istnieje na wsi zapotrzebowanie. Potem dopiero po uzyskaniu sobie czytelników Macierz mogłaby przejść do bardziej świeckich wydawnictw. Tak więc rozwój czytelnictwa na wsi obejmuje według oświadczeń działacza śląskiego następujące etapy prowadzące z kultury religijnej do świeckiej:

1. broszury religijne,
 2. powieści historyczne,
 3. naukowe pismo ilustrowane.
- „Wieńca” Czesława Pieniążka w r. 1875 jeszcze na filantropii raczej opierał byt szkoły, skoro publicznie wychylał jakąś panią dzie-

*) Towarzystwu Oświaty Ludowej.

dziczkę i księdza proboszcza za opiekę nad szkołą. Gazeta ks. Stojalowskiego wyraźnie jednak stawia sprawę publicznej i państwowej oświaty szkolnej. Pismo podaje za danymi wystawy paryskiej w 1879 r. stan oświaty szkolnej w Europie. Na ogólną liczbę ludności Europy — 294.600.000 szkół ludowych istnieje 370.000. I szkoła przypada więc według obliczeń pisma na 795 mieszkańców. W Rosji, która przedstawia się w tym czasie w najciemniejszych barwach — uczy się 1 na 100 obywateli.

W tym stanie rzeczy w Europie, Galicja ma swoje miejsce bardzo dalekie, skoro skądinąd znany z historii Galicji całe dysputy publicystyczne w obronie i przeciwko szkole na wsi, oraz uparte zabiegi konserwatywnego obozu sejmowego ograniczające budżety szkolne, budżety utrzymania nauczycieli i zakres nauczania.

Również w tradycyjnych środowiskach chłopskich szkoła jest nowością wzbudzającą opór wsi. Nie ma dla niej miejsca w pańszczyżnianej kulturze wsi, to też wieś broni się przed nią jako przed czołową atakującą — nowego porządku. Jaki jest pożytek z oświaty, ze szkoły — to ciągle jeszcze tematy publicystycznej perswazji gazet ludowej. Przekonuje ona słusznie czy niesłusznie, ale w danej chwili politycznie, że oświata szkolna wcale „nie każe rzucić sukmany” i „zapominać o dawnych zwyczajach” — że jednym słowem nie stanowi rewolucji kulturalnej na wsi.

W trosce o treść nauczania szkolnego bardziej zapewne niż o bezinteresowną oświatę niektórzy korespondenci pisma krytykując szkoły ludowe państwowe radzą zakładać gesty szkoły prywatne przy kościołach parafialnych oraz szkółki filialne we wsiach niekościelnych — zależne od szkół parafialnych.

Trudności, z jakimi boryka się szkoła galicyjska ludowa wynika z nowości i obcości jej na terenie gminy oraz z niedostatecznego wyposażenia nauczycieli wiejskich. To też dyskusja na tematy szkolnictwa ludowego i krytyka szkoły ludowej — sprawy przewijające się dość często przez późniejsze roczniki pism ludowych dotyczą przeważnie tych dwóch zagadnień.

Uposażenie miesięczne nauczyciela ludowego sięgało 25 zł., przeciętnie jednak wynosiło 18. Była to płaca bardzo niska. W r. 1882 sejm rozpatrywał wnioski o zwiększenie rocznych plac nauczycieli wiejskich do 400 zł dla szkoły gminnej, 300 zł dla gmin z ludnością niższą 2000 oraz 250 zł dla nauczyciela młodszego, praktykującego. Oplakane położenie materialne nauczycieli wiejskich, które skłaniało ich często do porzucania pracy, wywołało projekty uposażenia szkół wiejskich gruntami. Projekt ten podał okręgowy inspektor szkół ludowych w Gorlicach — p. Andrusikiewicz, a Aleksander Vogel dyskutował z nim w roczniku 1881 „Wieńca”. P. Andrusikiewicz proponuje, aby zakład wychowawczy na wsi wyglądał jak najbliższe środowisko rodzinne dziecka wiejskiego — jako zagroda kłmacza — postawiona na 10—15 morgach gruntu ornego, wyposażona w inwentarz żywy, narzędzia i zabudowania gospodarskie. Wówczas nauczyciel ludowy byłby gospodarzem, a zagroda jego wzorowym gospodarstwem rolnym. Szkoła nabrałaby charakteru niższej szkoły rolniczej. Aleksander Vogel polemizując z projektem, żywi słuszne obawy, że nauczyciel zajęty utrzymaniem dość dużego gospodarstwa niewiele czasu mógłby poświęcić dzieciom i to tylko w porze zimowej, wtedy właśnie, gdy frekwencja dzieci obniża się znacznie wskutek mrozów, braku ubrania, odległości od szkoły. To też praktyczną konieczność zniesienia kursu letniego w szkole — gospodarstwie równałaby się zniesieniu samej szkoły.

Poważne dyskutowanie tego rodzaju projektów wynikało z oporu sejmu wobec spraw budżetu oświatowego oraz z ogólnych w prasie ludowej tendencji połączenia na wsi podstawowej oświaty szkolnej z oświatą rolniczą. Niepowodzenia szkoły ludowej galicyjskiej przypisywano wprost jej obcości, jej niezaangażowaniu w interesach życiowych wsi — skupiających się w rolnictwie i dro-

bnym przemyśle. Ideą życiową chłopów w okresie popańszczyżnianym jest i być powinno: bogacić się, zamieniać w przedsiębiorstwo drobnokapitałistyczne swój warsztat pracy, to też i szkoła tylko o tyle potrafi wrosnąć w środowisko wsi i zyskać jej uznanie — jeśli będzie uczyła oprócz samego czytania i pisanie, jak chłop może się tanim kosztem wzbogacić. W przeciwnym razie pozostanie ciałem obcym na wsi i borykać się będzie z opozycją gminy, od której jest ustrojowo zależna.

„Dzisiejsze ustawy szkolne tworzące szkołę — czytamy w „Wieńcu” (1881) w artykule P. Ziembę — oddały dalsze jej rozszerzenie i zaokrąglenie przepisanych planem nauk w opiekę gminy; zatem utworzono oświatę, że tak się wyrażymy, gminną”. Był szkoły więc zależy od gminy, od stopnia jej uspołecznienia, oświaty, ofiarności. Od gminy więc oczekiwać mogłaby szkoła ludowa wzmocnienia swej pozycji na wsi. „Czyż nie widzimy przeciwnie ofiarności gmin — pisze dalej Ziemia — okazującej się w duchu opozycyjnym? Tak, to jest smutna i gorzka prawda; budowano gmachy oświaty nie od fundamentów, utworzono walcząc z potrzebami, puszczono nauczyciela, tego głównego krzewiciela oświaty już od dawna z takim upragnieniem oczekiwanej do walki z opozycyjnym duchem gminy... „A kraj narzeka na biedę, szuka i dochodzi jej przyczyn, bada stosunki zagraniczne Śląska, Czech itp., a docieklży do samych podwalin społeczeństwa, woła: Brak oświaty! I znów wskazuje na szkołę, w niej nawet widzi źródło owej pożądanej oświaty, a szkoła stacza tymczasem walki o swój niedźny byt, chcąc sobie wyrobić jakieś w gminie stanowisko...” Tak typowa dla polskiego pozytywizmu argumentacja, szukanie „podwalin społeczeństwa” w wartościach duchowych — oświaty i poprawianie wad ustrojowych przy pomocy oświaty — daje szczególną ważność tej publicystyce oświatowej. Skarżąc się na brak zaufania do szkoły wśród chłopów pisze dalej Ziemia: „Ktośby mógł na to odpowiedzieć: A to mi dopiero tędy pedagogizmy! Uczcie, nauczcie, a lud widząc skutki waszej pracy, nie tylko narzekać przestanie, ale wam błogosławić będzie. Przyjacieliu, doradco, to święta prawda, ale my uczymy i uczymy dużo, jednak nie uczymy wszystkiego, co lud żąda; lud chciałby takiej nauki, z której wiele korzyści by mógł, a więc gdybyśmy go nauczyli złoto robić...” A gdybyśmy mu wyjaśnić się starali o koniecznej potrzebie szerszej oświaty, usłyszeliśmyby argument: Chłop z nauki nie żyje, on stworzony do roli i ciężkiej pracy. Twierdzenie to bez głębszej myśli wypowiedziane, ma donośne znaczenie, które da się bardzo łatwo pojąć i tak wyrazić: — Niech szkoła uczy tego, z czego lud wiejski żyje” (podkreślenie autora).

Konkludując pisze Ziemia: „Przez oświatę do dobrobytu” — wołają światli badacze stosunków ekonomicznych, a naród w przeciwnym kierunku działający, postępuje mylną drogą, prowadzącą do ruiny swego bytu. Nauka zatem gospodarstwa rolnego w szkołach ludowych powinna być celem, do którego z całej siły należy dążyć.”

W tej oświatowej dyskusji, w tej krytyce szkoły ludowej występuje ona wyraźnie w funkcji czołówki kapitalistycznego ustroju. Gdyby uczyła złoto robić — cała wieś po pańszczyżnie znalazłaby się przy szkole. I powinna uczyć złoto robić — powinna uczyć ciągnąć kapitał z gospodarstwa rolnego, w przeciwnym razie staje się tylko kwiatkiem do zatechłego kozucha ludowej, pańszczyżnianej kultury.

Publicysta pisma ludowego, mimo, że pozytywista i rzecznik postępu gospodarczego wsi, widzi jednak wieś tak samo sztywno jak zacofani zwolennicy społecznego solidaryzmu jako podstawy społeczeństw. „Chłop z nauki nie żyje, on stworzony do roli i ciężkiej pracy”. To rozumowanie raz jeszcze w duszącej się na roli Galicji przypisuje chłopowi do ziemi, raz jeszcze zamyka go w „stanie rolniczym” — najciemniejszym stanie rolniczej ojczyzny.

Wiadomości z terenu oświaty rolniczej zamieszczane w pismach ludowych nie są rzeczywiste pocieszające i usprawiedliwiające koncepcje obarczenia istniejących szkół ludowych obowiązkiem także oświaty rolniczej.

Niższe szkoły rolnicze służą sejmowi galicyjskiemu jako rubryka oszczędności budżetowych. Wniosek rozszerzenia niższej oświaty rolniczej został przez sejm w roku 1882 odtóżony. W tym samym roku uchwalono uposażenia jednego dla całej Galicji wędrownego nauczyciela gospodarstwa dla Dublan i Lwowa.

Popularyzuje także pismo sprawę szkół rekodzielniczych, która w roku 1880 dostaje się na sejm krajowy. Ustanowiono szkołę garnarską w Kołomyi. Według nowych zasad kraj (państwo) i gmina mają dzielić obowiązki utrzymania szkół rzemieślniczych. Fundusz krajowy daje pensję nauczyciela, urządzenie szkoły i zakup środków naukowych, gmina ma się zająć dostarczeniem lokalu, opałą, oświetleniem i usługami.

Zabiegi koło wzmocnienia przy pomocy oświaty przemysłowego, drobnomieszczanckiego (nie rolniczego) elementu na wsi narażają na ogromne trudności i ze strony ubogich gmin i ze strony samych rzemieślników, obawiających się w szkołach potencjalnej konkurencji przemysłowej.



*) Patrz art. „Rewolucja oświaty” w Galicji, „Wici” nr 33—34.

Ludwik Łakomy

POSPIESZCIE SIĘ MŁODZI!

Jestem w gminnej bibliotece publicznej w Suchedniowie. Wypożyczalnia książek została uruchomiona w 1945 roku; początkowo liczyła 1.198 tomów i obsługiwała 30 czytelników.

Z czasem ilość czytelników wzrosła, osiągając w roku bieżącym liczbę 700 (w czym 70 proc. młodzieży, 15 proc. rolników i 15 proc. inteligencji). Księgozbiór powiększył się obecnie do 2.739 tomów. Gmina suchedniowska obejmuje 22 gromady wiejskie, liczące ogółem 12.300 mieszkańców. 1 książka wypada zatem na 5 mieszkańców.

Na stole czytelnianym widnieją czasopiśma: „Wiś”, „Wiedza i życie”, „Horyzonty techniki”, „Życie słowiańskie” i „Stolica”. Dzienników nie ma zupełnie.

Oprócz publicznej — w Suchedniowie znajdują się także biblioteki PZPR, parafialna i fabryki ceramicznej „Marywil”.

Istnieje 8 punktów bibliotecznych we wsiach okolicznych. Poza Suchedniowem najczęściej książki czytają w Łącznej, bowiem w marcu br. tamtejszy punkt odwiedziło 221 osób, w czym młodzieży — 162, a dorosłych — 59.

Niestety, gminna komisja oświatowa działająca pod przewodnictwem kierownika miejscowej szkoły, bibliotekę nie interesuje się zupełnie. Ob. Kierownik od chwili uruchomienia biblioteki tj. w ciągu czterech lat nie był w niej ani razu. Dziwne to, bo biblioteka mieści się w gmachu banku spółdzielczego, do którego obywatel kierownik bardzo często zagląda.

Pełne zrozumienie dla spraw czytelnictwa wykazuje tylko sekretarz gminy, natomiast działalność innych „czynników kompetentnych” wyczerpuje się w zdaniu, że „bez książki nikt jeszcze nie umarł”.

A Suchedniów posiada bardzo stare tradycje biblioteczne. Pierwszą czytelną założył tu w 1819 roku Stanisław Staszic, a to dla licznie osiadłej ludności wyrobniczej. Suchedniów przecież był kolebką naszego przemysłu ciężkiego. W zamienionym obecnie na łaźnię budynku mieścił się od 1817 roku Wschodni Okręg Górniczy, przeniesiony dopiero w 1903 roku do Warszawy. Z racji licznych kuznie, hut i kopalń rudy żelaznej było to siedlisko najpracowitszego proletariatu polskiego — braci górniczej i hutniczej.

Tu przecież, na okolicznych wiejskich omentarzach, położyli się karnie w mogiły uzbrojeni kopacze i kuźnicy, starodawnym łańdem gwarcim ujęci za życia w „kohorty, centurie i chorągwie”.

W głuchym milczeniu zamyka się Łysogórska, obwarowana bezdrożem ziemia. Tu i ówdzie widnieją rozpadliny — pozostałości zgasłych i do cna już wystygłych prastarych pieców licznych ognisk pod Suchedniowem zespółu dymarek, kuźnic zbrojowych, szabelnych i pancernych, które jeszcze przed stu



„Wśród łąn idą członkowie ZMP do świetlicy”

laty dyszały krwawym płomieniem ognisk i znojem człowieka. Po tylu latach z gruzów odwiecznych hucisk czas usypała brodate pagóry, a wiatr zasiał na nich bujne ziele.

Jest niedziela. Na wsi najwięcej czyta się w niedzielę. Pewnie, jak mówiła mi bibliotekarka, książkę Werszyhory „Ludzie o czystym sumieniu” (zdobyła pierwsze miejsce w poczytności), pewnie „Cytadela” Cronima, Kruczkowskiego „Kordiana i Chama”, pewnie: Orzeszkową, Wiktora, także Pogana, także „Popioły” i „Wierną rzec” Żeromskiego. Na te właśnie książki istnieje „kolejka”; szczególnie, otrzymujący którąś z nich, bywa upominany przez innych czytelników, aby ją szybko zwrócił.

Pewnie przez któryś z tomów biblioteczki marksistowskiej przegryza się uczeń Salwa, którego ojciec jest sekretarzem miejscowego komitetu kolejowego PZPR. Pewnie inny uczeń (który z kolei) po przeczytaniu Fiedlejew „Młodej Gwardii” zapyta bibliotekarkę, co się stało z Wala Bora, która nie jest wyszczególniona przy końcu „Młodej Gwardii” w liczbie ofiar straconych przez gestapo. Powiem Ci, młody przyjacielu: Wala Bora żyje i kończy obecnie uniwersytet.

Cisza w Łysogórze; mać ją tylko stapanie pasące się na miedzy krowy, obok której przykucnęła kobieta w czarno-czerwonym wełniaku. Jedną ręką przytrzymuje krowę na postronku, w drugiej dźwierży zeszyt i pisze.

Uczy się pisać. Przed kilku tygodniami dostała zawiadomienie z Konsulatu Generalnego

go RP w Londynie o śmierci jej brata i majątku przezeń pozostawionym.

Marianna Krzaczek musi własnoręcznie podpisać upoważnienie konsula polskiego do podjęcia od „Treasury Solicitor” spadku, bo inaczej należne jej 70 funtów szterlingów przypadnie Koronie Brytyjskiej, za której „wspaniałe odosobnienie” („splendid isolation”) zginął pod Monte Cassino jeden z wielu chłopów Łysogórskich z Polskich Sił Zbrojnych pod komendą angielską. Płacze, bo już trzeci tydzień uczy się swego podpisu i nauczyć się nie może. W domu nie ma czasu bo gospodarstwo, dzieci — więc na wygonie, podczas pasionki podejmuje tak trudno jej przychodzącą naukę pisania.

Ma trzydzieści lat. Przed wojną latem trza było jeździć do Prus, zimą drzeć pierze i tkąć płótno, a nauka nie była dla takich jak ona.

Cierpliwie prowadząc spracowaną rękę po liniach zeszytu uświadamiam sobie, jaki to ohydny spadek pozostawiła nam Polska przedwzrędnia: co szósty człowiek na wsi — to analfabeta.

W interesie klas wyzyskujących nie leżało wydobyć wyzyskiwanych z ciemnoty i zafobania. Słowo pisane czy drukowane, oświatę wśród mas chłopsko-robotniczych traktowano jak dynamit, który mógłby wysadzić w powietrze stary system społeczny. Toteż straszliwa klęska społeczna — analfabetyzm wynikał z samej istoty ustroju kapitalistycznego, gnijącego ustroju wyzysku mas pracujących, obawiającego się uświadomienia szerokich rzesz ludu polskiego.

— Dlaczego nie chodzą na kurs dla analfabetów?

— A bo ja-wiem, czy u nas jest! Po reszcie, później będą się ze mnie naśmiewać w radio, tak jak wczoraj sama słyszałam.

Okazuje się, że audycja teatru „Eterek” wywołała na wsi liczne ujemne komentarze dotyczące walki z analfabetyzmem.

— To my już tak mało wari, że nawet głupi Mundziu może być wobec nas uczony?! Poza tym działalność rejestratorów na tu-tejszym terenie była powierzchowna; z wieloma analfabetami w ogóle nie nawiązano kontaktu — ba! wielu nawet nie wiedziało, że termin spisu skończył się z dniem 1 lipca br.

Marianna Krzaczek musi już iść na „nieszpór” — przeto kończymy naukę i żegnamy się. Przy odejściu pytam:

— Czy dużo kobiet w waszej wsi nie umie pisać?

— Ze starszych, to dużo.

— A z młodych?...

Marianna Krzaczek już odeszła.

Właśnie widzę, jak wśród łąn niezętych jeszcze zbóż ciągną zetempowcy wraz ze starszymi gospodarzami do świetlicy, gdzie ma się odbyć konkurs głośnego czytania. Przechodzący znajomi mówią mi: „Dopiero co skończyliśmy Świętochowskiego „Historię chłopów polskich”.

Gdzie uczeń Salwa? Powiedzieć im młody, przyjacielu, żeby się pospieszyli. Dopiero Świętochowski?... — to za wolno!



Dr. Pozilewski z Suchedniowa, najstarszy działacz na polu kultury w Łysogórze

Jan Jelonek

KRYTYKA DZIAŁACZY OŚWIATOWYCH

Nim zostaną ogłoszone szczegóły planu 6-letniego i nim przystąpimy do jego realizowania, wartoby się zastanowić, do jakich prac w zakresie kultury i oświaty mamy się przygotować i jak te prace wykonać, aby nie były bezowocne.

Zależnie od poziomu umysłowego i materialnego stanu wsi, różny będzie sposób opracowania planu kulturalnego i oświatowego i różne będą jego wyniki. Nie pretenduję tu do podawania recept na opracowanie lokalnego planu kulturalnego i sposobu jego wykonania.

Pragnę tylko wskazać na zauważone przeze mnie metody rozwiązywania tego zagadnienia, szczególnie na odcinku oświaty rolniczej.

Biorę jako przykład dwie wsie w powiecie będzińskim. Jedną z nich gęsto zabudowaną i zaludnioną, niezbyt rozległą, posiada urząd gminny, gminną spółdzielnię, gminny zarząd ZS. Ch., ośrodek maszynowy i ośrodek leczniczy. Posiada dobre drogi kołowe i jest położona stosunkowo blisko przemysłowej części Zagłębia Dąbrowskiego. Poziom umysłowy ludności dość wysoki. Wiele mieszkańców pracuje w pobliskich hutach i kopalniach.

Druga wieś położona o kilka kilometrów na wschód, tuż przed wojną skomasowana, rozległa terenowo, z porozrzucanymi koloniami, nie posiada poza strażą pożarną i gromadzkim kołem Z. S. Ch. żadnych instytucji społecznych. Drog na swoim terenie nie ma, a z częścią przemysłową łączy ją jedna szosa, przy czym odległość do najbliższej stacji kolejowej wynosi ponad 12 km. Tylko niewielka garstka mieszkańców pracuje w przemyśle.

Obie wsie posiadają szkoły 7-klasowe, obsługiwane przez 3 sily nauczycielskie. W obu tych szkołach prowadzone było w okresie zimowym szkolenie Przysposobienia Rolniczego, przy czym do pierwszej szkoły uczęszczało ponad 50 uczniów i uczennic, a do szkoły drugiej — 33 osoby. W pierwszej wsi dro-

ga do szkoły z najdalszego punktu trwa około 20 minut marszu szosą, zaś w drugiej wsi — drogami polnymi, pustymi i błotnymi — ponad pół godziny. Lekcje odbywały się w godzinach od 17 do 21.

A przecież po zimowym okresie nauki właśnie w pierwszej wsi ani jeden uczeń nie został przegzaminowany i ani jeden nie przystąpił do praktycznej pracy na polku konkursowym. W drugiej wsi natomiast 27 uczniów i uczennic przeszło egzamin, wszyscy zakupili potrzebne podręczniki i założyli polka konkursowe.

Kiedy analizowałem przyczyny różnego poziomu nauki rolniczej w tych wsiach, doszedłem do wniosku, że decydująco zaważyła tu postawa kierowników szkół. Sposób podejścia do młodzieży jednego i drugiego kierownika był diametralnie różny i dlatego tak różne były wyniki.

W pierwszym wypadku, jak to mogłem w czasie lustracji zauważyć, kierownik traktował młodzież jak stadko owiec, potrzebujących opieki, ale nie kierownictwa umysłowego. Nie liczył się z czasem i poziomem umysłowym młodzieży i często pozwalał jej znajdować zamknięte drzwi szkolne.

Wykłady zaś jego nie zaspakajały ciekawości i żądzy wiedzy młodzieży.

W drugiej wsi młodzież przychodziła z lampami karbidowymi; znajdowała ciepłą i czystą izbę szkolną, oświetloną bodaj lampami naftowymi w braku światła elektrycznego, które przecież było w pierwszej wsi. Kierownika zastawiała zawsze przygotowane do lekcji i uśmiechnięte. Kierownik, do północy pracujący nad różnymi sprawami szkolnymi, nigdy nie narzekał na swe wadze, ale zato zawsze znalazł czas na przeczytanie prasy i książki rolniczej. Każdy fachowy wykład wygłaszał w sposób jasny i przystępny. Umiejętne powiązanie w wykładach spraw wsi ze sprawami całego kraju nadawało im specjalną wartość. A przecież poziom umysłowy tej młodzieży był raczej niższy od poziomu wsi pierwszej; znalazłem wśród niej takiego chłopca, który poważnie wątpił w istnienie Mickiewicza i innych wielkich ludzi, gdyż

na sekciarskim zebraniu powiedziano mu, że wszystko jest kłamstwem szatanu z wyjątkiem Biblii. Innym razem powiedział mi, że gdy wszyscy będą uczeni, to nie będzie kto miał widłami w gnoju grzebać. Czy go zdołałem w dyskusji przekonać — nie mogłem stwierdzić, gdyż urwał się mój kontakt z tą szkołą. W każdym razie, zarówno on — pół-analfabeta, jak i inni — nawet z odległych kolonii, z ochotą deptali tłuste błoto zimowe i wiosenne wieczory, byle tylko słuchać pogadanek i wykładów swojego kierownika.

Gdy zaszła potrzeba zgłoszenia uczniów na stypendystów do liceum rolniczego, w całym powiecie kierownicy nie raczyli się tą sprawą zająć poważnie. Z tej wsi jednak chłopak się znalazł i — uczy się.

W innym miejscu spotkałem się z takim kierownikiem, który oświadczył, że nie znał swojego rejonu; jego sąsiad natomiast z drugiej szkoły potrafił mi o każdym uczniu szczegółowe zdać wiadomości. Oczywiście, że i tutaj poziom szkoły P. R. był wyższy.

W jednym wypadku kierownik szkoły nie zgodził się na prowadzenie wieczorowej szkoły P. R. z obawy przed zabrudzeniem i uszkodzeniem nowo wyremontowanego budynku szkolnego, mimo, że taka obawa była zupełnie, według mnie, bezpodstawna.

Spotkałem się również z faktem, że prezes gromadzkiego koła Z. S. Ch. został ukarany grzywną za nieposyłanie córki na wykłady rolnicze, zaś prezeska K. G. wręczyła mi oświadczenie, że ona więcej nauczyła swoją córkę u siebie, aniżeli ta we wszystkich szkołach by się mogła nauczyć. Nic dziwnego, że jej kole gospodyń nie świeciło przykładem.

W jednej wsi nowootwarta biblioteka była przez dwa zimowe miesiące nieczynna, mimo że znajdowała się w budynku gminnym; zaś w innej wsi nauczycielka, pełniąc obowiązki bibliotekarki, co kilka dni jeździła do powiatu wymienić książki, aby tylko bez kosztów przewozu bibliotekę swoją odświeżyć i zaspokoić potrzeby młodzieży.

Pewien gminny agronom nie miał czasu przybyć na posiedzenie gminnej rady sportu

wiejskiego, gdyż w tym czasie na swoim polu rozrzucał nawóz. W innym wypadku gminny instruktor całymi tygodniami nie odwiedzał swych uczniów, gdyż pilnował narzęzionej, zaś jego kolega z sąsiedniej gminy często nie znajdował czasu na wygłoszenie wykładu, a poza tym nie zawsze znał miejsce zamieszkania swych przodowników, mimo, że do tego był obowiązany z racji osobistego, częstego kontaktu. Inny znów kolega wiernie przestrzegał zaleceń podawanych przez powiatowego inspektora, ale uczniowie w jego rejonie nie wiedzieli, co to jest kompost i na moje pytanie: „Czy założony jest stos kompostowy?” — usłyszałem odpowiedź: „U nas się tego nie uprawia”.

Możnaby tak sypać przykładami bez końca, ale już z przytoczonego materiału widać, jak różne są typy działaczy i oświatowców na terenie wiejskim. Każdy z nas powinien przeprowadzić ścisłą krytykę, zarówno swej własnej osoby jak i znanych działaczy i oświatowców, i — bądź to wpływać na podniesienie poziomu ludzi kształtujących kulturę wiejską, bądź dobierać do pracy przy realizacji planu podniesienia oświaty wsi takie osoby, które naprawdę posiadają wszelkie ku temu zalety. W ciągu tego 6-ciolecia winien zniknąć z wiejskiego życia kulturalno-społecznego typ działacza-gadacza, nierobacza, szwindlarza, zapatrzonego w swoją własną wielkość. Nie wolno nam przez dobór ludzi, nie nadających się do akcji oświatowej na wsi, załamywać tej akcji; nie wolno dawać elementom reakcyjnym okazji do szkodziwej i złośliwej krytyki oraz wstecznego działania na zaniedbanych placówkach. Musimy wyteżoną pracą spowodować, aby zamiast „cudów” lubelskich powtarzały się cudy w rodzaju „Trasy W-Z”, odbudowy Warszawy, i aby się stał cud największy: przeobrażenia wsi polskiej z tej „wsi cichej i sielskiej” na wieś czynną, aktywną i świadomą. Nie straszne nam wówczas będą pogrozki papieskie o ekskomunikę.

Porąbka, dnia 5 sierpnia 1949 r.

Józef Grabowicz

MŁYN NAD MROGA

W odległości, około 30 km na wschód od Łodzi, — otoczone panoramą lasów — leży niewielkie letniskowe miasteczko Głowno. Miasteczko dzieli na połowy przerywnąca się tu wąskim korytem rzeka Mroga. Na północ od Głowna koryto rzeki poszerza się znacznie i po 20-tu km wpada do Bzury. Na odcinku Mrogi od Głowna do jej ujścia rozsiadło się sporo młynów wodnych.

1. PATYKI

Tuż za lasem głowieńskim rozciągają się wsie leżące w linii równoległej do biegu Mrogi. Pierwsza z nich to Ziewanice. Na piaszczystej glebie Ziewanice mieszkają małorolni chłopcy. Powierzchnie ich posiadłości nie przekraczają 4 ha. Długość wsi wynosi około 3 km. W miarę posuwania się na północ wzrasta wartość gleb, wzrasta również zamożność tujejszych obywateli.

Naprzeciw małych chłopskich domów, w których mieszka biedniacka część mieszkańców Ziewanice, stoi na rzece młyn „Patyki”. Zbudowany on został przez jednego z bogatych Ziewaniczów na końcu wieku XIX. Materiał z jakiego budowano pierwotny młyn (cienkie baliki w kształcie patyków) dał genezę nazwy „Patyki”. Ale „Patyki” nie słusznie nazywają się dziś patykami, bo obecny wygląd młyna niczym nie przypomina młyna pierwotnego. Kolejni jego właściciele na przestrzeni pół wieku dorabiali się i wprowadzali całkiem nowe urządzenia techniczne, jak również przebudowali gruntownie młyn na zewnątrz. Zostawiamy go na razie w spokoju, a jedziemy dalej na północ, aby zobaczyć daleko ciekawsze okazy.

2. OŚRODEK PRZEMYSŁOWY WIEKU XIX

W malowniczym krajobrazowo terenie, na którym rośnie mnóstwo gatunków starych i młodych drzew, otoczonym kilkunastoma stawami, widnieją miniaturowych rozmiarów budowle, w której mieści się najstarsza w okolicy „fabryka mąki”. Początków jej istnienia należy szukać w końcu XVIII wieku, a może i znacznie wcześniej.



Po pracy „szarwarkowej” u młynarza

Właściwy jednak rozkwit Sopla (tak się nazywa owa miejscowość) datuje się dopiero od początków wieku XIX, kiedy młyn przechodzi w ręce do dziś jeszcze popularnego przedsiębiorcy Treimera. Treimer w 1824 r. buduje nowy młyn, a dochody z niego pozwalają mu pobyć w r. 1855 fabrykę papieru, zatrudniającą — jak ludzie tujejsi mówią — kilkadziesiąt nawet osób. Zysk z obu przedsiębiorstw nie był zdaje się mały, ponieważ Treimer decyduje się na kupno kilkuset ha gruntu, na którym znajdują się dziś wioski, Ziewaniczki i Boczek Domaradzkie. W 1884 r. następuje właściciel Sopla przekształca papiernię i zakłada przedsiębiorstwo na wzór rozwijających się wówczas fabryk łódzkich. W dwadzieścia lat później na miejscu przedsiębiorstwa zorganizowana została szarpania przez nowego już rządcę. Szarpania przerabiała stare zużyte materiały i dostarczała z kolei surowce fabrykom łódzkim. Działania wojenne w r. 1914 zniszczyły kompletnie sopelską szarpanię i odtąd przemysł na Soplu przestał istnieć. Z dawnego prowincjonalnego punktu przemysłowego został tylko sporych rozmiarów magazyn, na którym widnieją inicjały fundatora. Fabryka zatrudniała okolicznych małorolnych chłopów, oraz tzw. „wyrabników”.

3. SŁAWA OKOLICY

Nieopodal Sopla, bo zaledwie w odległości 1 km otoczony aureolą świętości i sławy wznosi się beniaminek tutejszego przemysłu młynarskiego — młyn Boczek Domaradzkie. Jakkolwiek jego egzystencja nie przekracza jeszcze pół wieku on się jednak może pochwycić olbrzymimi sukcesami na odcinku gospodarczym. Dalej na północ mamy jeszcze z pół tuzina młynów, ale żaden z nich nie dorównuje marce młyna Boczek Domaradzkie. Z tej też racji przyjrzymy mu się bliżej.

Wieś Boczek Domaradzkie należała (jak już poprzednio wspominałem) do Treimera. W r.

1902, krewny Treimera na skutek kryzysu majątkowego postanawia rozparcelować Boczek Domaradzkie. Z różnych okolic napływają tu chłopcy, nabywają działki i stawiają na nich zabudowania. Jeden z nowoprzybyłych chłopów po zakupieniu 25 morgów ziemi, doceniając sprzyjające warunki naturalne stworzone przez koryto rzeczne, postanawia wybudować tu młyn. Postanowienie to realizuje niezwłocznie.

Horoskopy M. (nazwisko młynarza) były słuszne. Podobnie jak i w innych młynach tak i w młynie boczkowskim „fortuna kołem się toczy”. Chłopi przyjeżdżać zaczęli do młyna z coraz odleglejszych stron.

Frekwencja ich ciągle wzrasta, powiększają się ogonki furmanek stojących przed młynem. Miarki za przemiał (10 kg od przemienienia 90) stwarzać zaczęły coraz większy dochód.

4. ROK 1939 — OKUPACJA

Ale właściwy rozkwit świetności młyna w Boczkach Domaradzkich notować należy w latach II-giej wojny światowej.

Okupacja otworzyła dla tutejszych młynów (a dla młyna w Boczkach Domaradzkich szczególnie) szerokie perspektywy rozwojowe. „Miarki” od przemiału wzrosły o 5 kg, co wydawnie wpłynęło na opłacalność młynów. Jednocześnie na skutek zatargów między właścicielami młyn w Soplu został zamknięty, a przez to ostatecznie konkurencja między młynami. Nie to tylko przyczyniło się jednak do wzrostu potęgi gospodarczej młyna.

Okupacyjne władze niemieckie nakładając na rolników wysokie kontyngenty zbożowe, ograniczyły jakość przemiału wprowadzając specjalne przepisy dla młynów. M. korzystając z szerokiej znajomości z władzami niemieckimi i będąc z nimi w ścisłym kontakcie, przepisy tych w swoim młynie nie stosował prawie wcale. Robił więc on „na lewo” jak kto chciał, a chociaż miarkę za to podniósł do wysokości 20 kg, wieść o młynie M. rozszła się błyskawicą po okolicy. Wolność przemiału sprawiała, że młyn M. stał się unikatem okolicy.

Rzędy furmanek, które przybywały z okolicznych miejscowości, nie były tożsame z tym, co widać było w pobliżu Głowna.

Dobroczytna inicjatywa M. służyła przede wszystkim chłopom bogatym, ci bowiem obok młyna na własny użytek przerabiali masowo zboże na „szmugiel”. „Szmugiel” kwitł tu bujnie. „Szmuglerzy” przybywali do zamożnych chłopów i wywozili wysoko wartościową mąkę do Warszawy lub ówczesnego „Litzmann-



Pogrzeb młynarza

stadt-u”, czy gdzie indziej. Biedniacy nie mieli z tego korzyści, bo swe skromne ilości zboża musieli mleć na „razówkę” aby im starczyło jej na cały rok. Różni zatem potencjał gospodarczy młyna Boczek Domaradzkiego. Dochodowość jego osiągała rekordowe granice. Rosły także kapitały kulańskich kombinatorów.

A tymczasem sytuacja na wsi wyglądała niewesoło. Powierzchnia obszaru wsi Boczek Domaradzkie wynosi 328 ha, Boczek Domaradzkie posiadają 50-ciu gospodarzy. W południowej części wsi gleby słabe, piaszczyste. Właściciele gospodarstw w tej części to przeważnie małorolni. W północnej części gleba znacznie lepsza. Mieszkają tu średniorolni i bogaci chłopcy. Działania wojenne zniszczyły około 40 proc. zabudowań. Na zgłoszonych zabudowań powstawać zaczęły w 1940 r. gliniane lepianki, gdzie ludzie mieszkali bardzo często razem ze zwierzętami na gnoju. Ma to miejsce zwłaszcza w części południowej Boczek Domaradzkie. W okresie akcji wysiedleńczej z terenów III-ciej Rzeszy do wsi przybyło jeszcze kilkanaście rodzin. Najgorzej sytuacja wyglądała na przedmoku. Młyn

M. zapewniał się w tym czasie gęsto biedotą wiejską, która za ostatni grosz kupowała kilka kilogramów mąki. M. podszedł do tej sprawy bardzo ekonomicznie. Korzystając z zapasów zboża przemiałał je teraz, odbierał mąkę wysoko-wartościową a resztę sprzedawał owej biedocie. Dla „dziadów” stała zresztą w młynie specjalna skrzynia z mąką.

A M. żył jakoś, nawet lepiej niż „jakoś”. Urządzał bankiety, uczył, zapraszał różnych dostojników, przedstawicieli władz żandarmerii, plebana itp. Sam M. cieszył się popularnością, był częstym gościem najprzejawniejszych restauracji w Głownie. Niestety nie długo się cieszył życiem.

Pewnego zimowego wieczoru 1944 r. wiózł służący z Głowna martwe ciało M. Dawka alkoholem była tym razem zbyt duża. Takiego pogrzebu jaki urządzone zmarłemu M. dawno nie widziano w okolicy. Podobne urządzenie chyba przed wojną zmarłym w parafii dziejącym.

Na czele orszaku pogrzebowego kroczyło cały czas dwóch księży z organistą, za nimi ciągnął okoliczny tłum aby oddać ostatnią przysługę zmarłemu „dobroczyńcy”. Kościół płonął w świetle żarzących się świec, żarówek i żyrandoli. A nad grobem ksiądz wygłosił płomienną mowę pożegnalną, podkreślał zasługi M. jego szlachetne i moralne życie, hojność (dla kościoła), szlachetną śmierć, inicjatywę „pro publico bono”, aż niejednemu łzy ciurkiem po twarzy spływały.

„Szkoła człowieka” — mówili jedni — „Pan Bóg go skazał — bo za dużo pił i hulał” — mówili drudzy. Tylko kościelny zadowolony był z całego zajścia, zacierał siarczęście dłoni i mówił — że taką „skórę” ma pierwszy raz, aby więcej takich umierało.

Brat M. po objęciu dziedzictwa przystąpił energicznie i radykalnie do reorganizacji pracy w młynie. Zaostrzył stosunki. Wewnątrz młyna, zrobił selekcję wśród służących, a tych miał teraz do wyboru, bo młodzież tutejsza w obawie przed łapankami do Niemiec na roboty chroniła się chętnie do pracy w młynach nie zważając na wysokość wynagrodzenia. Powstanie warszawskie, ewakuacja ludności, dostarczała młynom nowego elementu. Kolekcja doboru robotników była więc duża. Toteż za byle przewinienie groziła odprawa. Przystąpił on też niezwłocznie do budowy nowych mostów i grobli. Zdając sobie jednak sprawę z kosztów, jakich wymagały nowo projektowane inwestycje, uciekł się młody M. do bardzo ciekawej metody. W porozumieniu z władzami administracyjnymi gminy i powiatu wystarał się o potrzebną mu ilość dniówek roboczych, którą odrabiali mieszkańcy okolicznych wiosek, drogą szarwarkową — bezpłatnie. Ze względu na szeroki wachlarz wpływów, jaki posiadał M. we wszystkich urzędach i instancjach koncepcja ta udała się doskonale.

Poza młynem poważne źródło dochodów stanowiły (i stanowią) maszyny i narzędzia rolnicze, które wypożyczał M. sąsiadom przeznaczone za odrobiek w młynie i w gospodarstwie.

Linia rozwoju po jakiej dochodził młyn w Boczkach Domaradzkie do szczytu swej świetności i sławy — nie jest charakterystyczna dla tego tylko młyna. W podobny sposób dorabiali się również pozostałe młyny. Metody dorabiania są analogiczne.

Wśród młynarzy panuje jednak zawsze zgoda, ścisłe współzyszcze i współpraca oraz wzajemna pomoc. Na wypadek śmierci, urodzin, wesela, chrzciny czy imienin obowiązuje wszystkich staropolska gościnność. Oczywiście zamknięta we własnym kręgu. Miejscowy pleban zaszczyca tylko ich uroczystości swoją godnością. Gdy corocznie po koledzie chodzi u nich najdłuższy rezyduje. Wzajemnie za to mają i młynarze w stosunku do kościoła gest szeroki. Często fundują dla kościoła obrazy, czy inne świętości. Ksiądz znowu głosi z amboną kult dla nich podkreśla dobroczynność, wzywa do naśladowania. Mówi tak przekonująco, że z niejednej piersi słocho się wyrwie głęboko. A potem nabożeństwo odprawia się za fundatorów i toruje im w ten sposób drogę do nieba.

Józef Pogan

Są jeszcze ciemne wioski

C akiem słuszną jest uwaga Jana Bickiego (nr 33 „Wiś”), że czytelnictwo na wsi jeszcze nie wszędzie i nie jednakośnie się rozwija. Tam, gdzie kościół z amboną są „dalej od piekła”, gdzie w gminie jest dobry wójt, a we wsi sołtys aktywny, zarząd ZMP i Samopomocy Chłopskiej, władze partii politycznych, a nauczycielstwo są uspołecznione — czytelnictwo rozwija się możliwie.

Wprawdzie takich wsi jest najwięcej, ale nie brak też jeszcze zacofanych, gdzie to żyje się „dawną tradycją”, gdzie to księża straszą piekłem, a na miejscu kulturalnych przodowników wsi stoją wrogowie demokracji, straszący ludność „amerykańską inwazją”. W takich wsiach (oprócz kilku dorywczych czytelników jakiegoś dziennika, gwoździ bieżących wiadomości) jeszcze na pierwszym miejscu figuruje „Rycerz Niepokalanej”, „Gość niedzielnym”, pomocnikiem ich jest stary „Sennik egipski”, a rezultatem: chaos społeczny, niewiara w przyszłość, sarkanie na dzisiejszość, a zatem i zastój gospodarczy — kulturalny. Oczywiście nie dotknięci przejawami ostrej walki klasowej bogactwa trzymają się dobrze, nie „wiedzą” nic o pomocy sąsiedzkiej w pracy jeszcze po dawnemu wykorzystują na jej pomocników. I rozśiewają poufne prociwo Wernyhory o „Polsce jako przedmurzu chrześcijańskim od morza do morza”. W takich to wioskach pojawiają się „cudaki”, r.p. na dębnie, na szybko okiennej, na suficie itd.

Przykładem wrogiego Polsce Ludowej działania niech będzie pewna miejscowość Górnośląska w powiecie katowickim. Gdy w początkach 1947 roku założono tam koło Z. W. M. zgłosiło się aż 75 członków. Urządzali co tydzień zebrania i dyskutowali o pracy w przyszłości, prenumerowali młodzieżowe piśma, urządzali zabawy w celu zebrania funduszu na bibliotekę itp.

Tak pomyślnie zapowiadający się z początku rozwój organizacji młodzieżowej wnet u stał, gdy tylko ustąpił ze swego stanowiska dbały, odznaczający się demokratycznymi przekonaniami wójt gminy. Mimo dobrych chęci młodzieży, mimo poparcia świadomych jednostek — nowy wójt uniał wykretnie i systematycznie paraliżować całą działalność. Udało mu się to tym lepiej, że zaraz w początkach swego urzędowania objął „opiekunstwo” nad kołem młodzieży. Sam czytywał tylko „Rycerza Niepokalanej” i „Gościa niedzielnego”; odwiedzał często księdza, a wokoło: to słowo, tam słowo — i skutek był. Nawet w czasie pochodu pierwszomajowego siedział w domu, choć oficjalnie udawał demokratę. Wprawdzie rok zaledwie wójtował, ale nasiąknięta wrogą propagandą młodzież

zniechęcała się do pracy. Wnet 75-osobowe koło ZMP zmniejszyło się do 20 członków.

Nie trzeba chyba dowodzić, że gdyby koło rozwijało się dalej tak, jak z początku, to groźba misjonarzy odbiłaby się przysłówowym „grochem o ścianę”, bo uświadomieni członkowie koła odróżniali już wroga propagandę od pozytywnego, społecznego działania.

Podobnie kuleje w tej miejscowości praca Samopomocy Chłopskiej. Gospodarczo — jeszcze jako tako, ale kulturalnie — „pod psem”, jak się to mówi. Członkowie nie prenumerują żadnych piśm, a na książki wydał zarząd w ciągu roku aż... sto złotych! Do Samopomocy Chłopskiej nie przystępują młodzież, „bo to przecie organizacja gospodarczy; organizacja do popierania nawozów sztucznych i papy dachowej”. Nie też dziwnego, że w tej właśnie miejscowości udała się wysłannicy średniowieczna, szlachetko — klerkalna sztuka teatralna pt. „Żywcem zamurowana” której charakterystykę dałem niedawno we „Wiś”.

Instruktorzy społeczno — oświatowi też nie zawsze dopisują. Bo oto, zwiedzając świetlicę Związku Zawodowego Górników w Białoszowicach (powiat katowicki), zobaczyłem w tamtejszej bibliotece także dzieła filozofa — magnata, Wincentego Lutosławskiego. A wiadomo, że pod jego sformułowanie „ideologicznym” podpisałaby się bez wahania Truman, Schuman, Churchill, Franco i wszyscy anglo — amerykańscy kapitaliści i imperialiści. Jak stwierdziłem z zapisków w kartotece, książki W. Lutosławskiego czytają dość często gimnazjaliści i studenci wyższych uczelni.

Nie brak też w tej bibliotece takich sztuk scenicznych, jak: „Dla świętej ziemi”, „Babska polityka”, „Kłosze”, „Poseł czy kominiarz” itp. podobne szmiry, które nie po nad rozrywkę nie dając a często szkodząc — nie powinny zaprzętać nowoczesnej biblioteki. Kompromitacją tej biblioteki jest też chybą książeczka „Mały miłośnik Jezusa”, bo przecież świetlica nie jest przeznaczona do krzewienia religijnego kultu. Od tego są kościoły.

Czy wobec takich tu i ówdzie braków na polu czytelnictwa, pracownicy społeczno-kulturalni mają prawo do rozpaczy? Zapewne nie. Bądźmy pewni, że ostateczny koniec ciemnoty, zacofania i wszelakiego wstępcstwa niebawem nadejdzie. Oczywiście nie przedzie, aż różne „cuda i cudenka” znikną z sufity, z szyb okiennych, z dębów, z katedr i innych miejsc tej błudnej gry, a zostaną dostrzeżone przez wszystkich cuda dorobku narodowego.

Stefan Treugutt

MICKIEWICZ W ROSJI

W granicach Związku Radzieckiego otwierają się nowe widoki i pola pracy dla badaczy Mickiewicza. Już niejedno wydawnictwo rosyjskie (np. „Rukoku Puszkina”) oświetliło nam na podstawie nowych źródeł ten czy inny nie dość znany wprzód lub nie dość wyjaśniony okres życia poety — można przypuszczać, że w Rosji czy na Ukrainie znajduje się jeszcze niejedno ślad czy komentarz do jego kolei. Tak pisał T. Boy-Zelenśki w 1940 roku na łamach „Czerwonego Sztandaru”.

Przewidywania autora „Brazowników” sprawdziły się. „Poldosie mickiewiczowskie z archiwów moskiewskich” (tytuł pracy S. Fiszmana w Twórczości 1947, nr 3) okazało się obfite i interesujące. Udało się w latach 1945 — 48 odkryć wiele ciekawych i nieznanych materiałów dotyczących Mickiewicza. Ogłaszane częściowo w pismach, zebrane zostały przez autora poszukiwań i wydane¹⁾.

Praca Fiszmana należy do dziedziny biografistyki nie ma też charakteru sumarycznego wyczerpania tylko i opisu odnalezionych mickiewiczianów. Gruntowne poszukiwania topograficzne poparte obfitym materiałem fotograficznym dają dokładny przegląd kolejnych miejsc zamieszkania Mickiewicza w Moskwie i Petersburgu w latach 1826 — 28. A jest ich aż 9.

Koleje losu poety w ciągu tych trzech lat są ramą, w którą autor wplata wiadomości o znalezionych autografach, dedykacjach i listach. Trzeba mu przypisać, że robi to z zęciną; korzysta z polskiego i rosyjskiego materiału do poznania epoki i Mickiewicza. Pod tytułem książki Fiszmana „Z archiwów, muzeów, bibliotek...” wyjaśnia szczegółowo biograficznych dociekań, które wykarczują jednak poza ramy jałowego przyczynkarskiego, usprawiedliwianego jedynie względami naukowej ścisłości.

Nawet drobne przyczynki do biografii mickiewiczowskiej, nawet adresy jego moskiewskich i petersburskich mieszkań, mogą mieć bowiem poważniejsze znaczenie ze względu na specyficzne warunki, w jakich żył Mickiewicz w Rosji. Mozaika drobnych danych przyczynić się może bowiem do lepszego wyjaśnienia centralnego dla owego okresu problemu, biografii poety — jałowego typu związków łączących go z ówczesnymi księgami rewolucyjnej Rosji, co mieli sobie do powiedzenia Filomaci z przyszłymi dekabrystami.

Fiszman problemu tego bezpośrednio nie

wysuwa. Jednak pamiętać należy, że wędrując z nim śladami mickiewiczowskiego życia w Rosji, napotykamy co krok na nieujawnione może dotąd ślady konspiracji.

Udało się autorowi odnaleźć cenne egzemplarze pierwodruków mickiewiczowskich z serdecznymi dedykacjami dla moskiewskich przyjaciół poety. Należy tu wymienić dwie dedykacje dla „dobrego przyjaciela” Mikołaja Polewoja, wydawcy czasopisma „Moskowskiej Tielegraf” i również dwie dla tłumacza „Sonetów” na język rosyjski, Piotra Wlazemskiego. Mało lub zupełnie nieznanie wzmianki o Mickiewiczu w listach i pamiętnikach współczesnych mu Rosjan, wraz z cytatami z jego listów, pozwalają nam doskonale zorientować się w pełnej życzliwości, a nawet entuzjazmu atmosferze jaka otaczała młodego wygnańca. Postępowa i wykształcona warstwa Moskwy i Petersburga, literaci rosyjscy z Puszkinem, Kryłowem, Delwilem, Żukowskim i Wieniewitinem na czele, rozumieją go, starają mu się pomóc.

Książka Fiszmana, jakkolwiek nie ma pretensji do przedstawienia całokształtu pobytu Mickiewicza w Rosji, ani wszystkich zagadnień z tym pobytom związanych, jest jednak wiernym, popartym dokumentami obrazem życia i stosunków Mickiewicza z rosyjską inteligencją. Obrazując kontakty Mickiewicza ze światem intelektualistów rosyjskich stawia Fiszman bardzo istotny problem. Ukazuje on pobyt w Rosji jako okres, w którym uformowała się literacka sława Mickiewicza. Z Wilna wyjechał jako popularny w gronie młodzieży, lecz dyskredytowany przez wszystkich arbitry literackiego smaku nauczyciel kowieński.

W Rosji uważa go za najwybitniejszego ze swoich grup młodych, lecz wpływowych już przedstawicieli rosyjskiego życia literackiego, pionierów romantyzmu na gruncie rosyjskim. Uznając geniusz Mickiewicza pasowali go tym samym na jednego z czołowych poetów Słowiańszczyzny. Wyjeżdżając z Rosji był już Mickiewicz poetą o pozycji europejskiej. Między rozdziały traktujące o pobycie w Moskwie i Petersburgu wstawiona jest wiadomość i tekst artykułu Mickiewicza o polskich przekładach Dmitriewa i Puszkina. Ukazał się ten artykuł w nr. 8 1827 r. „Moskiewskiego Tielegrafu”. Tłumaczył Polewoj. Odkrycie autografu jest tym cenniejsze, iż znane dotychczas tłumaczenie odbiegało od tekstu oryginału.

Dotarcie do archiwów smutnej pamięci III wydziału pozwoliło Fiszmanowi na najpełniejszy z dotychczasowych wyświetlenie okoliczności związanych ze staraniami Mickiewicza o wyjazd. Traktuje o tym czwarty rozdział jego książki. Bezsukcesnie usiłowali mu po-

móc jego przyjaciele: Golicyn, Wolkonska, Wiazemski i Puszkina. „Pomoc przyszła ze strony najmniej oczekiwanego, bo z samego III Wydziału...” — pisze Fiszman. Wewnętrzna tarcia w III wydziale oraz intrygi Bułharyna i von Focka przeciw Nowosiłowowi, największemu wówczas wrogowi Mickiewicza, umożliwiły mu wyjazd. Książka Fiszmana przynosi niezwykle ciekawe dokumenty i listy, wymieniane w tej sprawie między Benken-dorfem i cesarzewiczem Konstantynem.

Zakres książki Fiszmana warunkowany jest przez dokumentarny materiał. To też w następnych rozdziałach opuszczamy Rosję.

Odnaleziony autograf listu Mickiewicza do Fr. Maleckiego z Rzymu z 26. VI. 1830 r. zapozna nas przede wszystkim z wrażeniami poety z wycieczki do ruin Pompei.

Ciekawszymi jeszcze jest rozdział następny. Podaje on wyjątki z pamiętników i zeznań składanych za śledztwem przez Fiodora Czyżowa. Czyżow, matematyk i historyk sztuki, w czasie swej podróży po Europie w latach 40-ych poznał i zaprzyjaźnił się z Mickiewiczem. Było to w 1844. Czyżow był na ostatnim wykładzie Mickiewicza w Collège de France, odwiedzał go potem wielokrotnie; odnalazł się list Mickiewicza do niego, utrzymany w bardzo serdecznym tonie. Jest to okres najmniej może w życiu Mickiewicza zbędny i prowokujący skutkiem tego najczęściej może powierzchniowych i nieprzemyślanych sądów. Tym cenniejsze stają się autentyczne relacje świadka cudzoziemca. Jak trafnie widział on w Mickiewiczu „ogrom fizycznego cierpienia, schorowane oczy”, a zarazem „czystość moralną... duszę, która przeszła przez ogień długotrwałych cierpień”. Relacje tego świadka, który cieszył się, że Polacy z otoczenia Mickiewicza przyjmują go „jak brata”, opatrzył Fiszman bardzo rzeczowym i trafnym komentarzem, świadczącym o wnikliwym zrozumieniu „mroków towarzyszących”.

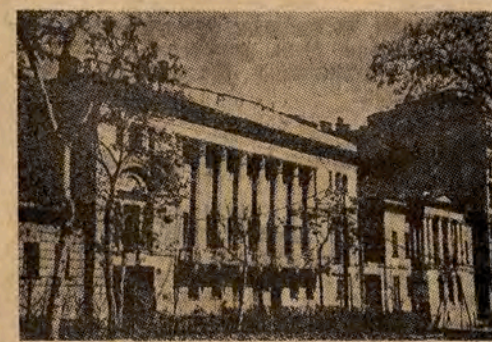
Nie na tym koniec cennych odkryć. W Dodatku do swej książki umieszcza Fiszman odpisy i fotograficzne kopie mickiewiczianów znalezionych w archiwach Związku Radzieckiego: metrykę Mickiewicza, nieznaną list do Grodecka, dyplom uniwersytecki, rękopis dwóch fragmentów ballady „Alpuhara”, wreszcie własnoręczne kopie Puszkina z III cz. „Dziadów”.

Kończąc ten pobieżny przegląd interesującej książki Fiszman nie może pominąć milczeniem jeszcze jednej jej strony. Uderza ona piękną szatą graficzną i obfitymi starannie dobranymi materiałami ilustracyjnymi.

Godzi się też wspomnieć zapowiedzi autora: „Poszukiwania mickiewiczianów trwają nadal i należy przypuszczać, że praca niniejsza jest pierwszą z cyklu ogłaszanych po wojnie poloników z archiwów radzieckich”.



Dom w Moskwie przy ul. Malaja Dmitrijewka gdzie w r. 1825 mieszkali Adam Mickiewicz i Franciszek Malewski



Dom Moskiewskiego Banku Asynacyjnego. Ostatnie mieszkanie Mickiewicza w Moskwie

Jan Kleszczyński

WYCHOWANKOWIE UL-ÓW

W Pawłowicach istnieje najlepiej działający Uniwersytet Ludowy w Polsce. Po wojnie odbyło się tu sześć kursów o łącznej liczbie 510 słuchaczy. W ciasnym pomieszczeniu byłego dworu odbywały się lekcje, bo sięgające stu uczestników kursy. Gospodarstwo rolne uniwersytetu zajmuje ośrodek o powierzchni 50 ha.

Na rozgłos Pawłowic złożyło się kilka przyczyn. Pawłowice są od początku do końca dziełem jednego człowieka: Babinicza. Organizowanie Uniwersytetu Ludowego zaczął on jeszcze za okupacji w roku 1944. W r. 1945 poprowadził liczny kurs, z którym jako trupa widowiskową występował w teatrze śląskim i kieleckim, kiedy jeszcze teatry narodowe nie dawały przedstawień. Następne kursy także, choć już trochę mniej, nastawione były na ekstensywność. Niepokojone redakcje i radio roznosiły wiadomość o istnieniu Pawłowic po całej Polsce. Nawet fotografia krowy, dającej 35 litrów mleka (jest takich w Polsce tysiące), znalazła miejsce na łamach „Przekroju”. Słowem — Pawłowice przedstawiają dobry towar z jeszcze lepszą reklamą.

Atmosfera wychowawcza Pawłowic wynika z metod pracy zbliżonych do metod Grundtwiga i Solarza. Wyolbrzymion więzi uczuciowa z zachowaniem rodzinnych form: chrzestny, chrzestna, ciocie i wuj. Słuchacze rekrutują się z kielecczyny. Przychodzą, nie mając często poza lichym odzieniem na sobie, nic ze sobą ani poza sobą. Biedota wiejska. Otoczeni opieką, dobrym słowem i spojrzeniem, otrzymują w Uniwersytecie Ludowym w Pawłowicach początki wykształcenia; nabierają wiary we własne siły, uzyskują pomoc, drogę i kierunek w awansie zawodowym i społecznym. Za tyle troski mają dla domu pawłowickiego ołbrzymią wdzięczność i przywiązanie. Za trud i pracę bez przerwy, za poświęcenie się kierownictwa, za opiekę, słuchacze żywią dla Babinicza wielki szacunek i gorące uczucia. Za awans społeczny i zawodowy — wdzięczność dla rządu Polski Ludowej. Był określa świadomość. Z poprawy bytu rolnie ich świadomość ludowej władzy w państwie.

Ze 110 byłych wychowanków, zgłoszonych na zjazd w pierwszym dniu, 40,3 proc. to pracownicy umysłowi, 34,5 proc. to studenci i uczniowie, 12,6 proc. to rolnicy i 12,6 proc. rzemieślnicy, M. O., leśnictwo i inni. Zapal i poświęcenie dla pracy społecznej, jakie dało się zaobserwować u wychowanków U. L. — byłych fornal, pastuchów itp., byłej niedziwsiowej, a dziś studentów, uczniów czy innych obywateli ze stanowiskiem społecznym, wynika z poczucia nędzy środowiska, z którego wyszli i chęci podniesienia go na wyższy poziom.

Przed wojną U. L. nie były, tak jak dziś, szkołami awansu zawodowego, czy nawet społecznego. Przez uniwersytety nikt ze wsi nie wychodził, nie zdobywał zawodu. Wychowankowie uniwersytetów prawie wszyscy wracali na wieś do swego środowiska, nie zużytkowując społecznie nabytego wykształcenia. Dusili się, nie mając warunków pracy w Polsce sanacyjnej. Rósł bunt. Rozbudzona świadomość krzywdy i poczucie własnej wartości potęgowały ten bunt. Krzepił ruch wiciowy i ludowy.

Dziś wychowankowie U. L. to organizatorzy życia społecznego na terenie gromad i gmin. Świetlice, biblioteki, zespoły sportowe, spółdzielnie mają w nich dobrych organizatorów, przewodniczących, krytyków; w szkołach są to organizatorzy życia społecznego, a wszędzie — rzecznicy postępu.

Organizacyjnie U. L. przeszły do Z. S. Ch. Wyłania się ich nowe oblicze zawodowe, jako szkoły pracy społecznej ze specjalizacją: oświatowo-swiecicową, spółdzielczą i administracyjną. Obok teoretycznego roztrząsania spraw świata, państwa i wsi, wyklada się przedmioty zawodowe potrzebne w konkretnym działaniu dnia codziennego.

Józef Kapuściński

Z DZIEJÓW WALKI KLASOWEJ

Wobec prawa wszyscy są równi — tak mówiono przed wojną z przekonaniem, że ta zasada równości jest rzeczywiście wszędzie stosowana.

Ale w praktyce było inaczej. Po pierwszej wojnie światowej widokiem z niewoli rosyjskiej do domu. Pewnego razu miałem sprawę w Starostwie, poszedłem do biura tak, jak byłem, tj. w ubraniu chłopieckim i do tego w koszuli wyszywanej, mianej, jaką przywoziłem sobie z Ukrainy. Gdy wszedłem do biura, siedzący tam urzędnik raczył mnie tytułować mianem „tata” — czego sobie życzyłem? — mimo, że nie byłem jeszcze żonaty i daleko mi było do tego tytułu. Ale po pewnym czasie, kiedy włożyłem już cienką koszulę i zawiązałem krawat u szyi, ten sam urzędnik zatytułował mnie „panem”.

W Polsce przedwojennej jedni byli panami, inni chamami, inni „tata” — a wszyscy mieli być równi wobec prawa.

Różnie też ta równość wyglądała na wsi. Wędną dla przykładu wieś L., która liczyła 230 domów, gospodarzy rolnych przeszło 1400 i 1310 morgów ziemi. Ziemia tu była w ten sposób podzielona, że było dwóch właścicieli i większych gospodarstw: jeden 130, a drugi 150 morgów. Probstwo polskie liczyło 20 morgów, zaś ruskie około 25 morgów. Oprócz tego było kilku tak zwanych bogaczy-osiadników, którzy mieli od 16 do 20 morgów. Miejscowi bogacze liczyli się od 8 do 12 morgów. Najwięcej, bo prawie 50 proc. gospodarstw, to gospodarstwa karłowate, liczące od 3 do 8 morgów. Reszta około 20 proc. gospodarstw 1—3 morgowych.

Do tego trzeba dodać, że oba folwarki i 8 osadników mieli grunta w jednym, najwyższym w trzech kawałkach, zaś miejscowi mieli grunta porozrzucane w kilku kawałkach. Przykładem tego było gospodarstwo liczące 8 morgów, w pięciu różnych kawałkach. A byli i tacy, co mieli łąki w dziesięciu kawałkach po całej wsi rozrzucone.

Był zwyczaj w tej wsi, usankcjonowany prawem, że każdy mieszkaniec, czyli gospodarz, właściciel domu, bez względu na ilość posiadanych morgów, obowiązany był do sprawowania warty nocnej. Od tego obowiązku wolny był proboszcz, nauczyciel, wójt i radni. Obaj właściciele folwarku, nie sprawowali tej warty, z tej prostej przyczyny, że jak twierdzili — mieszkają na boku wsi, mają budynki pod łacną i wszystko zaasekrowane. N'e odbywale warty i tych ośmiu osadników, gdyż także nie mieszkali w samej wsi. Ale za to sprawowali wartę wszyscy, którym wypadło prawie cztery razy do roku czuwać całą noc nad całością i mieniem wszystkich mieszkańców, w razie pożaru a-larmować straż pożarną, a tym samym całą wieś. Przeszło 1/4 ziemi tej wsi, należało do

tych, którzy nie pełnili obowiązków nocnych straży. Ten obowiązek spełniali ci wszyscy, których w sumie było prawie 200 rodzin, posiadających 3/4 całej ziemi. Oprócz obowiązku straży nocnych z kolei od numeru istniał obowiązek noszenia poczy z miasta, oraz obowiązek odrobienia szarwarku do 2—3 dni na rok przy naprawie drogi, kopaniu rowów itp.

Ponadto ci wszyscy, którzy posiadali konie, mieli obowiązek dawania podwód, z kolei tak, że czasem wypadło 4—6 razy odbyć w roku obowiązek podwoju, na rzecz gminy i szkoły. Zwyczajem te były tak silnie zakorzenione wśród ludności tej wsi, że nikt nie dostrzegł krzywdy tych najbiedniejszych. Wszyscy byli przekonani, że tak jak jest, jest najlepiej, a nawet biedniejsi w celu uszanowania starszych i bogatszych, pomagali przy robotach szarwarkowych na drogach tym właśnie bogatszym.

W roku 1922 przeprowadzono wybory do rady gminnej, gdyż dotąd istniał Zarząd Komisarzyczny. Do rady gminnej weszło kilku młodych radykalnych ludzi, do których przylączył się jako radny — nauczyciel. Ludzi tych zwano „bolszewikami”, gdyż zaczęli głosić jakieś nowe hasła, nowe niesłychane dotąd teorie o równości i sprawiedliwości. Tymi właśnie bolszewikami byli ludzie, którzy wrócili z wojny światowej. Byli w różnych krajach w Rosji, Albanii, we Francji, Włoszech itd. Do rady wybrano ich dlatego, bo najwięcej krytykowali dotychczasowy ustrój wsi i tłumaczyli ludziom potrzebę zmian. Powód do krytyki dała sprawa parcelacji obszaru dworskiego. Grunta dworskie zakupili w największej ilości i to co najlepsze, właśnie osadnicy, co wyniosło w sumie połowę obszaru dworskiego. Zakupili, bo przyjechali bądź z Ameryki z dolarami, bądź też dorobili się na różnych dostawach wojskowych. Ponad to kupili mogli ci, którzy byli w domu i mieli po dwie krowy, lub parę jałówek do sprzedania. Najbiedniejsi byli ci, którzy wrócili z wojny, lub kilkulennie niewoli, a którym obiecywano w różnych odezwach i rozkazach dać ziemię za darmo, za obronę granic wschodnich.

Ludzie ci nie mieli za co kupować ziemi folwarcznej, wierzyli odezwow o nagrodzie w ziemi za długie lata wojny, a wiedzieli, że tam w tej zaoferowanej carskiej Rosji rewolucja dała ziemię chłopom za darmo.

Moment parcelacji dworu i fakt wykupienia ziemi przez bogaczy przybyłych z zachodu i sąsiednich wsi, był pierwszą fazą walki klasowej.

Dodać muszę dla wyświeślenia tła, że ziemię dworską miejscowi gospodarze, nawet ci, o których mówiono, że są „bogaczami”, bo posiadali od 5—8 morgów, kupili najmniej, gdyż wierzyli tym, którzy mówili, że przy-

dzie i przyjść musi taki czas, że chłopu będą dawać dworską ziemię — za darmo.

Grupa tych, którzy uważali byli za wywrotowców, chciała zakupić dla wspólnej dobra las, a sprzedać gromadziek pastwiska, pewne kawałki, łąki użytkowane. Ale starsi nie zgodzili się na to i las we wsi wykupili w całość gospodarze sąsiednich wsi, zwłaszcza tych, które miały najwięcej „amerykanów”. Ci sami ludzie z sekretarzem K — na czele, nauczycielem P — sami posiadacze od 3—8 morgów dostrzegli w dotychczasowym zwyczaju wsi niesprawiedliwość. Najbogatsi nie pełnią nocnej warty, a przywoźli przy okazji poczy z miasta to nie jest sprawa dla ogółu, bo bogacze mają najwięcej spraw pocztowych. Odrabiali tyle podwód konnych, ile i owi posiadacze jednego, lub paru koni na 5—8 morgach. To jest niesprawiedliwość. Grupa tych działaczy opracowała wniosek na radę gminy, aby wynająć stałych listonoszy wiejskich i stałych wartowników nocnych, a na płacenie tych ludzi pobierać opłaty w gotówce od posiadanych morgów w tej gromadzie. Wniosek ten był tak w swojej treści rewolucyjny, że na pierwszym posiedzeniu nie uzyskał potrzebnej większości, ale wzbudził umysły i pobudził do myślenia. Zwolano zebranie całej gromady, pozyskano dla tej sprawy wójtą, a nawet proboszcza, bo wszyscy byli tym wnioskiem zainteresowani. Przeciw temu wnioskowi byli naturalnie najbardziej ci, którzy musieli by najwięcej płacić. Ci zjednali dla siebie radnych tak biedniejszych, jak i bogatszych, ale w rezultacie po kilku posiedzeniach wniosek przeszedł większością znaczną i odszedł do Wydziału Powiatowego dla zatwierdzenia. Tu sprawa zaczęła się „tłuc”, gdyż przeciwnicy projektu szukali dla siebie przyjaciół i starali się wstrzymać zatwierdzenie Wydziału Powiatowego, a nawet uchwały w całości odrzucić.

Projekt ten jednak poparł sekretarz wydziału, lustrator gminy — syn chłopa P, który projektodawców informował o wszystkim, dowodził — pomagał i wreszcie uchwała stała się wykonana. Do noszenia stałe poczy i pełnienia warty nocnej zgłosiło się kilku biednych ze wsi, którzy chcieli coś robić. Wynagrodzenie to wałowało się w zapłacie dziennej od 1 zł. 20 gr. do 3 zł., za jeden dzień, względnie noc, czyli więcej nawet, jak płacono na folwarku. Z początku opłaty na ten cel zbierane w drodze konkurencji szły bardzo opornie, ale następnie objęto je budżetem gminnym i ściągano w drodze dodatków do podatków przez Urząd Skarbowy. Sprawa wolno ustaliła się o doszło do tego, że na wsi L. poczęły wzorować się okoliczne wsie i zaprowadzały podobne uchwały u siebie. Na te obecnych przemian społecznych uwypuklają się te drobne codzienne sprawy, które wówczas były wywalczane pojedynczo od dołu.

Nadawca i adresat

„Jeżeli czyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby złagodzić fizyczne i moralne cierpienia Niemców, to dlatego, że znaliśmy Niemców nie tylko z opowiadań, lecz również z długoletnich osobistych obserwacji”.

Jasne, prawda? O jakichże to „długoletnich osobistych obserwacjach” mówi odrębne pismo papieża, skierowane do Przewodniczącego Rady Gospodarczej Bizoni dra Puendera, jednego z najgorętszych oredowników kampanii rewizjonistycznej w Niemczech? Czy te „obserwacje” nie odnoszą się przypadkiem do czasów II wojny światowej?

Jeśli tak, to adresat będzie napewno zadowolony.

Zwłaszcza, że nadawca nie omieszczał przy końcu swojego listu przekazać... błogosławieństwa pasterskiego dla „drogich synów niemieckich”.

Czas zmienić szyld

„5 milionów osób cierpi na schizofrenię, która nie nadaje się do leczenia klinicznego, nie mniej jednak objawia się zupełnie wyraźnie. Istnieje 300.000 osób, które cierpią na halucynacje, słyszą nieistniejące głosy i wyobrażają sobie, że są Hitlerami, lub też Napoleonami...”

Gdzież mogła powstać tak potworna epidemia choroby umysłowej? Jak każda nieprawdopodobna sytuacja — w Stanach Zjednoczonych. Przytoczyliśmy bowiem fragment wypowiedzi profesorów L. Moench i G. Richardsa — wybitnych psychiatrów, złożonej w czasie ostatniego wielkiego Amerykańskiego Kongresu Lekarzy. Kongres odbywał się w Waszyngtonie, obok siedziby rządu U.S.A. I nie bez racji. Tam przecież najlepiej ujawnia się daleko posunięta schizofrenia. Marshall stworzył amerykańską „przestrzeń życiową” na wzór Hitlera, gen. Clay dobiera sobie niemal wyłącznie towarzystwo najbliższych współpracowników Führera. Pewien członek parlamentu widział już czołgi radzieckie na ulicach miast Ameryki, no, a ministra Forrestera można było oglądać w szpitalu dla umysłowo chorych, gdzie grał — bez najmniejszej żenady — rolę wodza III Rzeszy.

Należy przypuszczać, że wkrótce, kiedy schizofrenia na dobre zakorzeni się w Waszyngtonie, trzeba będzie umieścić posagi wielkich demokratów amerykańskich w innym miejscu i zmienić tabliczkę na drzwiach Białego Domu.

J. S.

Podporządkowanie rasowe

Rzecz miała się następująco:

Przed 26 laty skazano na dożywotnie więzienie Murzyna Jamesa Montgomery za rękome zgwałcenie białej kobiety. Po 26 latach pobytu w więzieniu sędzia federalny wyrok skazujący... uchylił.

Okazało się (po 26 latach), że Murzyn był niewinny. Jeszcze podczas pierwszej rozprawy sądowej prokurator posiadał świadectwo lekarskie, stwierdzające niewinność Murzyna.

A jednak wyrok skazujący zapadł. Dlaczego?

Według komentarza „New York Times” prokurator zagroził w czasie procesu Montgomery’emu i jego obrońcy represjami ze strony Ku-Klux-Klanu, jeśli spróbują bronić się w sądzie. Bowiem nie idzie o to, czy Montgomery jest winien czy też nie, lecz o podporządkowanie rasowe”.

Skracanie frontu

Kilka dni temu dokonano na terenie Indii Holenderskich osobiwej transakcji. Rząd holenderski dostarczył prokapitałistycznej grupie Indonezyjczyków 5.500 kompletów mundurów wojskowych, 1.200 rowerów, 7 milio-

FAKTY i ZDANIA

nów metrów tkanin, samochody ciężarowe, broń i ponadto 10.000.000 guldenu. Wszystko to za cenę wolności. Transakcje znane w imperialistycznej polityce kolonialnej. Znana też jest odpowiedź narodu, który za żadną cenę wolności sprzedać nie chce. Równocześnie bowiem z ową transakcją rozgorzały w Indonezji gwałtowne walki, szczególnie silne w rejonie miasta Surakaty, które udało się Indonezyjczykom w części opanować. Wojska ludowe zaatakowały jednocześnie wiele innych miast.

Omawiając sytuację w Indonezji gazeta holenderska „De Warheid” pisze: „Wojska holenderskie nie mogły złamać oporu Indonezyjczyków i już teraz przechodzą do obrony przy wsparciu lotnictwa i artylerii. Obecnie jest jasne, że nawet w wielkich miastach wojska holenderskie napotykały na trudną sytuację”.

Podobnie „trudną sytuację” w miastach ma niemiecki korpus ekspedycyjny w Indochinach, usiłujący bronić interesów francuskich plantatorów. I tu toczą wojska imperialistów walki obronne. Toczył je także Hitler w przeddzień upadku. A dziś imperializm kolonialny, ongiś zwycięski, obecnie wycofuje się „na z góry upatrzone pozycje”, „skraka front”? Skrócił już o Chiny, skrócił o Indochiny i Malaie.

tw. J.

Kultura w cudzysłowie

W Paryżu wychodzi pismo społeczno-literackie emigracji londyńskiej, zatytułowane szumnie — „Kultura”. W ostatnim numerze tego miesięcznika dokonał W. A. Zbyszewski podsumowania osiągnięć emigracji.

Z podsumowania wynika, że Polki nie podbiły swoją urodą Zachodniej Europy, natomiast emigranci polscy pobili zdecydowanie rekord, jeżeli chodzi o rozwoju. Zajmują również czołowe miejsce w kronikach politycznych. Okazuje się bowiem, że Polakom wytoczono największe spraw sądowych o pobicie. Nie mało także odnotowano spraw honorowych. Wiadomo przecież — że góra emigracyjna to „rolnicy” — hrabiowie i tacy „rolnicy” jak Mikołajczyk. Politycznych sukcesów Zbyszewski nie wymienia. Piszcie, że odcinek polityczny „wyraźnie nie zdał żadnego egzaminu”. Wiemy o tym!

Dalej stwierdza publicysta „Kultury”, że wśród polskich emigrantów najwięcej jest samobójstw, ale zjawiska tego nie wyjaśnia. Tymczasem wyjaśnić je można bez trudu. „Orzeł Polski”, organ Andersa, który — jak wiadomo — trudni się straceniem białego niewolnika dla anglo-amerykańskich przedsiębiorców, pisze o emigrantach, pracujących za poroką organu andersowskiego w Australii, że zatrudnieni są oni „w miejscowościach odludnych i przy pracach najmniej atrakcyjnych dla robotników australijskich. Przysyłowa grzeszcząca australijska osadza pracę inżynierowi i doktorowi praw zatrudnionym w kuchni, lub też lekarzowi myjącemu okna w szpitalu.

Większość D. P., uciekająca od niemieckich baraków, trafia do nich znowu, a czasem nawet do namiotów”.

W tragedii setek tysięcy ludzi, zapędzonych do ciężkich prac w odległych zakątkach imperium kapitalistycznych, tkwi przyczyna wielkiej liczby samobójstw. I p. Zbyszewski powinien to emigracyjnym czytelnikom wyjaśnić. Wtedy i tytuł pisma wódzów kulturalnych emigracji stałby się bardziej zrozumiałym. „Kultura” oczywiście w cudzysłowie.

D. P.

C.R.Z.Z. w odpowiedzi podlegaczom wojennym

Obrađując ostatnio w Warszawie pierwsze po II Światowym Kongresie Związków Zawodowych w Mediolanie plenum CRZZ wysunęło 7 konkretnych, bieżących zadań, stojących przed polski mruchem zawodowym:

- 1) Walka o pokój
- 2) Wzmocnienie jedności robotników całego świata poprzez zrzeszenie ich w SFZZ
- 3) Współpraca z walczącymi organizacjami zawodowymi w krajach kolonialnych i półkolonialnych
- 4) Zwiększenie wydajności i jakości pracy
- 5) Zwiększenie dyscypliny w klasie robotniczej
- 6) Zaostrzenie czujności klasowej mas pracujących
- 7) Wzmocnienie na wszystkich odcinkach pracy uświadamiającej celem podniesienia świadomości

domości, podstawy ideowej i bojowości najszerszych mas pracujących.

Te siedem punktów to odpowiedź mas pracujących na szerzoną propagandę podlegaczom wojennym.

Masy pracujące Polski i świata wojny nie pragną. W pokoju i trudzie codziennej twórczej pracy budować chcą lepszą socjalistyczną przyszłość świata.

Taki jest sens ostatniego plenum CRZZ.

L. M.

Broń rewolucji

W dniu Święta Odrodzenia Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej ogłosił uchwałę w sprawie podjęcia pełnego wydania dzieł Lenina i dzieł Stalina w języku polskim.

Pisma Lenina i Stalina to nie tylko dorobek myśli teoretycznej wódzów zwycięskiej rewolucji, którzy, kontynuując prace Marksa i Engelsa, rozstrzygali każdorazowo wątpliwości, jakie w dalszym rozwoju stały przed marksizmem. Pisma Lenina i Stalina, to historia partii bolszewików i historia państwa radzieckiego, to skróty doświadczeń rewolucyjnego proletariatu Związku i ideowa metodyka socjalistycznego budownictwa.

W momencie, gdy zaostrza się walka klasowa, gdy armia ciemnoty i wstępczstwa wzmocniła natarcie i rzuciła na szalę walki szkodki z arsenału średniowiecza, ukaże się w języku polskim pełne wydanie dzieł, stanowiących praktyczny wykład marksizmu-leninizmu, broń rewolucji dla proletariatu świata.

M. R.

Biblioteka kolchozu

W Związku Radzieckim pod hasłem „Więcej książek, dobrych i różnorodnych — dla wsi!” odbywa się obecnie wielka akcja, mająca na celu sprawne doprowadzenie literatury na wieś!

W pismach radzieckich rozważa się metody lepszego zorganizowania sprzedaży książek w spółdzielniach kolchozowych i dostarczenia na wieś większej ilości pozycji popularnych, doświadczenia bohaterów pracy socjalistycznej — zwłaszcza traktorzystów i kombajnów. Istnieje olbrzymie zapotrzebowanie na powieści współczesne, podejmujące tematykę wsi radzieckiej.

Akcję rozprowadzenia literatury na wsi usprawnia uchwała CK KP(b)U, w myśl której rozpoczęto na Ukrainie wydawanie serii książek tzw. „Biblioteki kolchozu”. Dotychczas wydano dziesięć pozycji tej serii; na okładkach widnieją nazwiska: M. Gorkiego, L. Tolstoja, M. Gogola, Iwana Franko, L. Ukrainki, A. Fadiejewa, D. Furmanowa.

EM

Wieś teatralna

W miesiącach letnich odbył się w Związku Radzieckim przegląd osiągnięć wiejskich amatorskich zespołów dramatycznych. Przegląd ukazał wysoki poziom ideologiczny i artystyczny, rozmach i prasowosć działalności teatralnej radzieckiej wsi. W repertuarze tych teatrów obserwujemy równowagę między sztukami wielkich klasyków literatury i współczesnych sowieckich.

Spora ilość wystawionych sztuk obrazuje życie i walkę wsi radzieckiej; niejednokrotnie są to przeróbki powieści współczesnych, dokonane na użytek teatrów amatorskich. Wybitną pozycję reprezentują też sztuki współczesne, które uzyskały ogromną popularność w teatrze zawodowym.

Dzięki doświadczeniom pokazu teatrów amatorskich kładą obecnie radzieccy oświatowcy w pracy nad amatorskimi zespołami teatralnymi największy nacisk na wychowanie przewodniczących tzw. „dramkrużków” (kółek dramatycznych).

Wpłyne to niewątpliwie pomyślnie na dalszy rozwój doniosłej pracy teatru amatorskiego, stanowiącego tak ważny czynnik wychowania ideologicznego i artystycznego socjalistycznej wsi.

WU

Komitet wydawnictw naukowych

Niedawno podano w prasie wiadomość, że przy Departamencie Nauki Ministerstwa Oświaty ustanowiony został Komitet Wy-

dawnictw Naukowych i Podręczników dla Szkół Wyższych. Zadaniem Komitetu jest kierowanie akcją wydawniczą w zakresie książek naukowych i podręczników uniwersyteckich; Komitet wytyczył ma plan wydawniczy publikacji naukowych i zajmie się kwalifikacją prac zgłoszonych.

Jest to postanowienie doniosłe w skutkach dla sytuacji naukowej szkół wyższych. W wielu dziedzinach brakuje bowiem podręczników uniwersyteckich, lub też istniejące nie odpowiadają wymogom naukowym. Niejednokrotnie podręczniki uniwersyteckie propagowały reakcyjne teorie naukowe. Podobnie, lub jeszcze gorzej, działo się ze skryptami, które były często młodym lub bardziej zamaskowanymi kazalniami reakcji.

Przeprowadzonej z powodzeniem akcji zmiany składu społecznego uniwersytetów, akcji wprowadzenia do wyższych uczelni większej ilości młodych chłopów i robotników, musi towarzyszyć czujna kontrola nad ideologiczną treścią nauki podawanej młodej inteligencji ludowej.

Na uniwersytetach młodzież musi znaleźć wiedzę obiektywną, wolną od reakcyjnych fałszów, która uzbroi fachowo i ideowo budowniczych Polski Ludowej.

Do pisarzy

Czytałem już kilka artykułów sprawozdawczych na temat wieczorów dyskusyjnych pisarzy z czytelnikami i podkuśko mnie do napisania kilku słów prośby na ten temat.

Jestem chłopem z pochodzenia i mam 21 lat, uczę się w szkole średniej. Jako uczeń Państwowego Gimnazjum i Liceum w Wieliczce i ZMP-owiec pragnę, aby i moja rodzina wieś połączyła się silnymi węzłami z kulturalnym życiem miasta, szczególnie zaś klasy robotniczej. Wielu młodych ludzi z mojej i okolicznych wiosek uczęszcza do rozmaitych szkół, a zdobytej wiedzy używa dla podniesienia kulturalnego wsi.

Wydaje mi się, że sprawa upowszechnienia kultury w zakresie czytelnictwa posnułaby się znacznie naprzód, gdyby zechcieli wziąć w niej bezpośredni udział pisarze. Byłoby bardzo dobrze, gdyby chłopci z mojej wsi zobaczyli u siebie pisarza, który pisze dla ludzi i o ludziach. Bo jest o co ich pytać. U nas toczą się nieraz zaciete dyskusje nad książką. I brak sądzić, który by mógł wyjaśnić, kto ma rację, jak właściwie należy słuszenie autora rozumieć, wiedzieć czy są tendencje.

Jestem tu wyrazicielem próśb wszystkich obywateli naszej wsi i przemawiam w ich imieniu: prosimy Szanownych Pisarzy (Literatów), by i do nas przybyli w łożcinę do wsi Janowice, gm. Kóżnice Wielkie, pow. Kraków.

Marian Piotr Piatek

O właściwą informację literacką

„Dziennik Literacki” jest pismem masowym, sięgającym 135 tys. nakładu. Fakt, że pismo obsługuje czytelnika masowego stawia je wobec specjalnych, odpowiedzialnych zadań. Jednym z nich jest dostarczenie czytelnikowi rzetelnej, ideologicznie przepracowanej informacji o książkach, ukazujących się na rynku wydawniczym.

„Dziennik Literacki” wypełnia to zadanie w dwojaki sposób: w obszernych recenzjach, omawiających kluczowe pozycje literatury i w drobnych, rozsypanych po całym piśmie, informacyjnych notatkach o nowych pozycjach wydawniczych. Notatki te donoszą w kilku-nastu wierszach o ostatnich nowościach. Należy przypuszczać, że odgrywają one wobec czytelnika masowego dużą rolę, wyznaczając niejednokrotnie jego lekturę i podsuwając kierunek interpretacji książki.

Wydaje się jednak, że „Dz. Literacki” nie wypracował jeszcze właściwych metod literackiej informacji. Notatki w „Dzienniku”, podpisane Stef., ograniczają się zazwyczaj do opisu bibliograficznego książki, krótkiego streszczenia, zdawkowej oceny. Popularna informacja powinna kłaść większy nacisk na sformułowanie ideologicznej, politycznej oceny książki. Rubryki „nowych książek” muszą być bożym ideologicznym osadem literatury a nie martwym rejestrem bibliograficznych pozycji. Czytelnikowi nie wolno podawać nieprześlanej, nieopracowanej ideologicznie informacji o książce. A tym bardziej omawiana rubryka — ze względu na swoje znaczenie — nie może stać się azylem informacji „obiektywnej”, nie mówiącej, unikającej wyraźnej oceny.

Jako przykład właściwego rozumienia zadań informacji literackiej służyć może „kronika wydawnicza” pisma codziennego „Trybuna Ludu”.

E. M.

ZAWIADOMIENIE

Publiczna Średnia Szkoła Rolnicza w Nietańkowie — dojazd koleją wąskotorową ze stacji Stare Bojanowo — przyjmuje zapisy do klasy I i II-giej codziennie w kancelarii szkoły od godz. 10-tej do 13-tej. W szkole dwumiejscowej prowadzi się dział rolniczy, hodowlany, ogrodniczy, krawiecki i gospodarstwa domowego, poza tym nauki przedmiotów ogólnych. Nauka dwusemestrowa rozpoczyna się 3 listopada i trwa do 31 marca. Internat na miejscu, nauka bezpłatna.

KIEROWNICTWO SZKOŁY

Administracja Wydawnictw Z.S.Ch.

PRZYPOMINA

O UREGULOWANIU ZALEGŁYCH OPŁAT ZA PRENUMERATĘ

TYGODNIKA SPOŁECZNO-LITERACKIEGO

„WIEŚ”

Należność prosimy wpłacać na Konto PKO I-6841

z zaznaczeniem: „za tyg. „WIEŚ”

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza Nr 7.

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6841 z zaznaczeniem „za tyg. „WIEŚ”.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirka 2.
D-5211